

954

~~БИБЛИОТЕКА~~
~~№ 954~~
~~Общ. Пособ. Г. * * *~~
~~Каз. Р.-К. прихода~~

~~734~~

~~БИБЛИОТЕКА~~
~~№ 954~~
~~Общ. Пособ. Г. * * *~~
~~Каз. Р.-К. прихода~~

~~БИБЛИОТЕКА~~
~~№ 954~~
~~Общ. Пособ. Г. * * *~~
~~Каз. Р.-К. прихода~~



TEATR
Gabryeli
ZAPOLSKIEJ

2250

ŻABUSIA.
DZIEWICZY WIECZOR.

WARSZAWA.

1903.

EGZEMPLARZ ABONAMENCYJNY.

Handwritten: 12

BIWLO
 Polska
 w Warszawie
 No. 1

Белорусская библиотека
 Кн. Г. 10
 БИВЛО

Dla Abonentów Przeglądu Tygodniowego za 8 tomów cena znizona Rb. 1 kop. 50.

2307

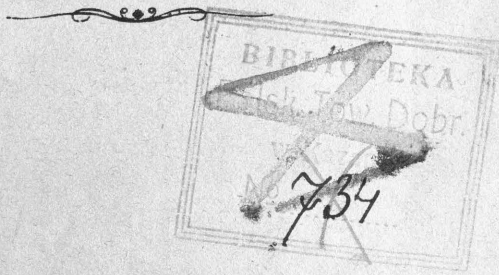


TEATR

GABRYELI ZAPOLSKIEJ.

30762

2150



WARSZAWA.

Nakład Redakcyi „Przeglądu Tygodniowego.”
Pasaż Miodowa-Długa № 23.

1903.





Дозволено Цензурою.
Варшава, 14 Сентября 1902 г.



Ż A B U S I A
SZTUKA
w trzech aktach.

OSOBY:

Paul BARTNICKI. *wręcznik*
Stefan MILEWSKI. *brat Bartnickiego*
Kochanek MILEWSKA. *brat Bartnickiego*
Przyjaciółka JULIAN. *narzeczona Maryi*
Przyjaciółka HELENA. *brat Bartnickiego*
Przyjaciółka MARYA. *brat Bartnickiego*
Kochanek MANIEWICZOWA. *brat Bartnickiego*
 FRANCISZKA. *brat Bartnickiego*
Meryl NIAŃKA.
 MAŁA JADZIA.

Rzecz dzieje się w Warszawie, w domu
 Bartnickich.

AKT PIERWSZY.

Scena przedstawia salonik umeblowany
 z mieszczańskim komfortem. Dużo japoń-
 skich wachlarzy i parasolek, po kątach po-
 rozpinanych. Zbiór rozmaitych małych gar-
 niturków. Nad kanapą na lewo wielka foto-
 grafia, przedstawiająca roczne dziecko w ko-
 szulce. Po obu stronach fotografie Heleny
 i Bartnickiego. Dużo cacek i drobiazgów rę-
 ką kobiecą wykonanych. Atmosfera ciepłe-
 go domowego kąta, kwiaty, pianino. Troje
 drzwi, jedno w głębi wiodące do przedpoko-
 ju. Widać tam lustro, konsolkę i szaragi.
 W chwili podniesienia kurtyny Bartnicki
 w domowej kurtce siedzi po lewej na fote-
 lu i trzyma na kolanach Jadwinę uśpioną.

SCENA I.

BARTNICKI, później FRANCISZKA.

Bartnicki (kołysząc dziecko, nuci).

A! a! a! koty dwa,

Szare, bure obydwu.

(Przez drzwi z lewej wsuwa się Franciszka,
 trzymając kurier).

G. Zapolska. Żabusia.

Bartnicki (szeptem). A co tam?

Franciszka. Kuryer.

Bartnicki. Ciszej, bo mi dziecko obudzisz.

Franciszka (ciszej). Kuryer.

Bartnicki. Słyszę! połącz na stoliku! nie tu! nie tu, ciemnego... tu leży pani robota. Ty przecie wiesz, że pani nie lubi, skoro się coś nie na swoim miejscu znajduje.

Franciszka (kładzie kuryer na krzesło). Pewnie, że wiem.

Bartnicki. Nie tu!.. pani nie lubi, jak się gazety po krzesłach przewracają.

Franciszka. O, Jezu! jaki to pan kapryśny. Pan wszystkie kaprysy na panią zwała a wie się przecie, że kto dokuczy sługom, to pewnie nie pani, czysty anioł.

Bartnicki. No dobrze, dobrze! niech będzie, że to ja wszystkiemu winien (dziecko się budzi). Cyt! cyt! lulaj... Mama zaraz przyjdzie i cukierków Nabuchodonozorowi przyniesie.

Franciszka. A może niańki zawołać, żeby Buchozora wziena i do łóżka położyła?

Bartnicki. Nie trzeba! pani wychodząc prosiła, żeby panienska u mnie na ręku siedziała, to niech siedzi.

Franciszka. A to niechże siedzi.

Bartnicki. A nastaw samowar, bo pani

przyjdzie zziębnięta. I kup cytrynę, bo panią głowa bolała.

Franciszka. O! Jezu! a czemu też to pani w taką niepogodę poszła... jeszcze się biedactwo przeziebi.

Bartnicki. Mówiła mi pani, że jej przechadzka na ból głowy pomoże.

Franciszka. Mógł pan też być panią nie puścić... i zakazać chodzić w taką chłapaninę.

Bartnicki (patrzy przez chwilę na Franciszkę i wzrusza ramionami). Ja? nie puścić? ja cokolwiek pani zakazać? co też Franciszka wygaduje!

Franciszka. Nicem głupiego nie powiedziała... pani to czysty dzieciaczek a pan powinien umieć się z panią obejść...

Bartnicki (wyniośle). Niech Franciszka idzie nastawiać samowar.

Franciszka. O jej! idę...

(Wraca się).

Bartnicki. Czego jeszcze?

Franciszka. Ano zapomniałam... szewc przyniósł od podzelowania te buty, co w nich pan do biura chodzi, to trza zapłacić.

Bartnicki. No to jak pani przyjdzie, to pani zapłaci.

Franciszka. Ano to dobrze!

(Wychodzi na lewo).

SCENA II.

BARTNICKI sam, później MANIEWICZOWA
(ściemnia się).

Bartnicki. A! a!... koty dwa... Ściemnia się a Żabusia nie wraca. Już dziś nie pójde na czarną kawę do cukierni, bo będzie za późno... szkoda... ciekawy jestem co się dzieje we Francji. Czy Arton już przyjechał? Kto jest na liście panamczyków!... Ciekawe bardzo, jak Boga kocham!.. Żebym choć kurjera mógł przeczytać, ale boję się poruścić, żeby się dziecko nie rozkrzychało... (Przez drzwi z lewej wchodzi Maniewiczowa, owinięta szalem).

Maniewiczowa (wesoło). Dzień dobry sąsiedzie!

Bartnicki (zażenowany). A!... pani daruje... ale moje ubranie domowe...

Maniewiczowa. Cóż znowu? sąsiedzi?... wszak pan widzisz, że i ja przychodę w domowym ubraniu. Zresztą jest tak ciemno, że nie widzę nawet kostiumu pana.

Bartnicki. Niechże pani siada.

Maniewiczowa. Chętnie, przychodzę dotrzymać panu towarzystwa. Wychodziłam przed chwilą i spotkałam Żabusię... prosiła mnie, ażeby przyjsć i zabawić pana. Co za

pocziwe serduszko, jak ona myśli zawsze o panu...

Bartnicki (z dumą). Och! Żabusia!...

Maniewiczowa. Jak to pan mówisz... no, no! po pięciu latach małżeństwa!... To rzadko spotkać można..

Bartnicki. Bo też i Żabusia jest istotą wyjątkową...

Maniewiczowa (tłumiąc uśmiech). Zapewne!

Bartnicki. Wszyscy to mówią!

Maniewiczowa. Wszyscy!

Bartnicki. Jak mi Bóg miły, wszyscy!

Maniewiczowa. Wszyscy!

(Chwila milczenia).

Co mnie najwięcej w Żabci zachwyca, to jej wielka szczerść i prawdomówność.

Bartnicki. Moja żona nigdy nie kłamie!

Maniewiczowa. Nigdy!

Bartnicki. Nigdy!

Maniewiczowa. A pan?... kłamiesz pan kiedy?...

Bartnicki (szczerze). Ja? po co?

Maniewiczowa. Często się kłamie z przyzwyczajenia, z potrzeby, z dobrego serca, z dobrego wychowania... czasem dla... przyjemności.

Bartnicki. Och! pani dobrodziejko!...

Maniewiczowa. A czy pan wiesz,

panie Raku, że są kobiety, które całe życie kłamią, zwodzą i oszukują...

Bartnicki. A ich mężowie?

Maniewiczowa (śmiejąc się). Wierzą!

Bartnicki. Ci panowie godni są pogardy.

Maniewiczowa. Dlaczego?

Bartnicki. Bo mąż nie powinien się dać wywieźć w pole i znać winien dokładnie charakter swojej żony. Jakby Żabusia kiedy, cc nie daj Boże, skłamała, zaraz ja, panie tego, jej z oczówbym kłamstwo wyczytał...

Maniewiczowa. Tak pan sądzi?

Bartnicki. A jakże.

Maniewiczowa. Z pana taki psycholog?

Bartnicki. Tego nie wiem, ale wiem, że jak byłem posesorem, to panie tego, złapię parobka koło spichrza i mówię: „Zbierałeś ziarno“ on „nie, panie posesorze“. A ja mu tylko w oczy spojrzę i wiem, że bestya łże... (miarkując się). Przepraszam panią dobrodziejkę za takie słowo... I co pani powie, zawsze na prawdziwego złodzieja natrafiłem. To samo i teraz w biurze... woźny, nie woźny, każdy prawdę musi powiedzieć a nigdy mnie nikt nie okpi. A cóż dopiero kobieta!

Maniewiczowa. Widzi pan, pomiędzy kłamstwem parobka, albo woźnego a kłam-

stwem kobiety—to cała przepaść. Kobieta kłamie tak delikatnie i artystycznie, jak pajak umie dzierżyć sieć swoją.

Bartnicki. Nie! nie!.. już mnie tam nikt okłamać nie jest w stanie.

Maniewiczowa. Tem lepiej.

Bartnicki. A przytem widzi pani dobrodziejka... kłamstwo to ściąga kłamstwo drugie. Ja nigdy przed Żabusią nie kłamie, więc też i Żabusia przedemną nie kłamie. O! widzi pani dobrodziejka, w tem jest cała filozofia naszego pożycia.

Maniewiczowa. A ja kłamie.

Bartnicki. Daruje pani dobrodziejka, ale w takim razie i mąż pani musi także kłamać.

Maniewiczowa. Jak najęty!

Bartnicki (z szerokim gestem). A w takim razie, proszę siadać!...

Maniewiczowa. Już siedzę... Ale dajmy temu pokój! Weszliśmy na bardzo śliską ścieżkę! Nam dobrze z naszymi kłamstwami, pan zaś cieszysz się szczerością... Błogosławieni ci, którzy wierzą...

Bartnicki. Czy to znaczy, że Żabusia?..

Maniewiczowa (szybko). Cóż znowu? Helenka jest najlepsze, najszczerze na świecie stworzenie. Dość na nią spojrzeć, aby wiedzieć, że jest chodzącą prawdą, takie ma

Bartnicki (na stronie). Gorąco mi!

Maniewiczowa. Przed chwilą mówiłam panu, że często w życiu mojem... kłamie. Czy sądzisz pan, że jestem szczęśliwą? Nie! tysiąc razy nie... Chcę przed panem uczynić spowiedź...

Bartnicki (przerażony). Pani dobrodziejko, wstrzymaj się... ja nie mam prawa słuchać twoich zwierzeń, ja lampę każę zapalić...

Maniewiczowa. Są ludzie, którzy budzą mimowoli sympatyę w tych, którzy się do nich mają szczęście zbliżyć... Takim człowiekiem jesteś pan. Ja nie chcę, ażebyś miał jakiegokolwiek wątpliwości, co do prawości mego charakteru, ja...

SCENA III.

MANIEWICZOWA, BARTNICKI, MARYA.
(Słychać dzwonek, po chwili widać służącą ze świecą w przedpokoju, otwierającą drzwi i we drzwiach zjawia się Marya).

Bartnicki (z radością). Żabusia!

Maniewiczowa (na stronie). Jaka szkoda, bawiłam się tak dobrze!...

Marya (wchodzi do przedpokoju). To ja zaczekam!..

Bartnicki. A! to moja siostra.
(Widać Maryę zdejmującą płaszcz i kalosze).

Maniewiczowa. Ja uciekam.

Bartnicki. Dlaczego?

Maniewiczowa. Siostra pana mnie wystrasza.

Bartnicki. Mania?

Maniewiczowa. Tak! Mania!... nie lubię dzisiejszych panien, zanadto surowe, poważne i lachons le mot... przesadzone. Mania jest wzorem doskonałości, ale ja, będąca wzorem ułomności, lękam się tego spotkania... et je me sauve! Do widzenia, panie prawdomówny i wierzący człowieku. Pamiętaj pan tylko jedno. Często kłamstwo jest dobrodziejstwem, nie zbrodnią.

Bartnicki. Nie rozumiem.

Maniewiczowa. Bo pan jesteś mężczyzną... kobieta jedynie taką subtelność rozumie.

Bartnicki. Nie każda.

Maniewiczowa. Każda.
(Marya wchodzi do pokoju, za nią niańka ze świecą).

Bartnicki. Ręczę, że moja siostra należy do tych kobiet, które nie rozumieją...

Marya. Czego?

Bartnicki. Dobroczynnych skutków kłamstwa...

Marya. A!..

Bartnicki. Jakież twoje zdanie?

Maniewiczowa. Dowiem się innym

razem. Muszę wracać do domu. Mąż na mnie czeka.

Marya. Spotkałam pani męża w bramie. Wychodził z domu, mówił że idzie do teatru...

Maniewiczowa (śmiejąc się). Nie udało mi się kłamstwo.

Marya. Po cóż więc pani kłamałaś?

Maniewiczowa. Bo szczerść w tym razie potraciłaby o złe wychowanie, a ja je me pique d'être très correcte. Votre servante.

(Idzie ku drzwiom na lewo).

Bartnicki. Pani daruje, że ją nie odprowadzam, ale Nabuchodonozor mi przeszkadza.

Marya. Daj mi dziecko!

(Bierze dziewczynkę na ręce).

Maniewiczowa. Cóż znowu... wyjdę przez kuchnię, znam drogę. Jaka szkoda, że nasz wspólny balkon przedziela krata. Mogłabym wrócić do mego mieszkania przez balkon.

Bartnicki. Wyjdź pani frontowymi schodami (odprowadza ją ze świecą do przedpokoju, idąc mówi). Daleko pani spotkała Żabusię?

Maniewiczowa (po chwili wahania). Prawdziwie nie pamiętam... Zdaje mi się, że na Długiej...

Bartnicki. Och! tak daleko?

Maniewiczowa. Wysiadła z dorożki a zresztą może się pomyliłam, może znów skłamałam... Adieu.

Bartnicki. Żegnam panią! (otwiera drzwi wejściowe). Cóż to? gaz jeszcze nie zapalony?... poświęcę pani.

(Wychodzi ze świecą).

SCENA IV.

MARYA, NIAŃKA, później BARTNICKI.

Marya. Niańko! weź dziecko i połóż do łóżeczka.

Niańka. Kiedy pani zaraz powróci i rozniewia się, że dziecko już śpi i pani się z niem nie może bawić.

Marya (ostro). Weź dziecko i połóż je spać.

Niańka. Może wpierw lampę zapalić?

Marya. Nie trzeba, ja sama lampę zapalę. Weź Jadzię!

(Niańka bierze dziecko na ręce i wychodzi).

Marya (sama stoi chwilę nieporuszona, wreszcie wzrusza ramionami i pociera ręką po czole). Co zrobić? co zrobić?..

Bartnicki (wchodzi ze świecą). Poszła nareszcie, co to za dziwna kobieta.

Marya. Nie, mój drogi, to bardzo zwyczajna kobieta.

G. Zapolska. Żabusia.



30703



Bartnicki. Co też ty wygadujesz. Słyszałaś sama co ona mówiła... wiecznie kłamię...

Marya. Nie wiem, ale często milczenie jest także kłamstwem.

Bartnicki. To zależy jakie milczenie.

Marya. Mówię o patrzeniu przez palce na cudze występki.

Bartnicki. A nam co, panie tego, do występków innych. Byle tylko nam szkody nie przyniosły.

Marya. Naturalnie. Samolubne „ja“ górá ponad wszystkim.

Bartnicki. Dobrze cię w domu nazywali.

Marya. Ach! wiem! romantyczką!

Bartnicki. Tak i mieli rację.

Marya. Być może!

(Chwilowe milczenie).

Bartnicki. Gdzie dziecko?

Marya. Kazałam je spać położyć.

Bartnicki. Dlaczego?

Marya. Było senne.

Bartnicki. Żabusia jak wróci zechce się dzieckiem bawić.

Marya (ostro). Kup Żabusi piłkę, lalkę, pajaca, gumową kaczkę do zabawy, ale dzieckiem jej bawić się nie pozwól. Pamiętaj, że zabawkę, gdy się stłucze odkupić możesz... ale dziecka nigdy!

Bartnicki. Jesteś surową i niesprawiedliwą, Żabusia jest najlepszą matką.

Marya. Nie przeczę. Wasza córka jest zawsze ślicznie ubrana, fotografujecie ją co miesiąc i kazaliście jej zaszczepić ospę. Co więcej włóczycie ją zawsze na spacer we wspaniałym wózku, i Żabusia ochrzciła ją Nabuchodonozorem, tak jak ciebie Rakiem. To wszystko jest miłe, ładne, wdzięczne i sympatyczne.

Bartnicki. Czego więc chcesz więcej?

Marya (cicho). Ja? nic nie chcę! Ja milczę!...

Bartnicki. Nie rozumiem cię dzisiaj.

Marya. Nie trzeba ażebyś mnie rozumiał. Jestem dziś zdenerwowana, rozdrażniona... Zapalę lampę...

(Bartnicki gasi świecę, Marya zapala lampę i pokrywa ją czerwonym abażurem).

Bartnicki. Moja biedna Maniu... ta praca w tej administracji wyczerpuje cię i nuży.

Marya. Na pracę nie skarżę się nigdy. Wiesz o tem dobrze. Dokuczają mi inne, moralne względy.

(Siada przy pianinie, czerwone światło lampy oświeca ją jaskrawo. Bartnicki siada na fotelu).

Bartnicki. Wiem, byłaś zawsze dzielną i pracowitą dziewczyną. Na wsi ręce sobie

po łokcie urabiałaś, pomagając mi w gospodarstwie.

Marya. Lubiałam wieś całą duszą, praca żadna nie była mi zbyt ciężka w Rokatykach.

Bartnicki. Mnie także a przecież pracowaliśmy oboje od świtu do nocy. Pamiętasz ty Rokatyce?

Marya. Pamiętam.

(Zaczyna grać).

Bartnicki. Ciężko w mieście pomiędzy murami.

Marya. Nie, ale pomiędzy ludźmi.

Bartnicki. Ba! ludzie wszędzie jednacy.

Marya. Nieprawda. Wieś ludzi lepszemi czyni, miasto niszczy, gubi i psuje.

Bartnicki. Och! och! znow twoja romantyczna głowa zaczyna pracować. Wszędzie widzisz kłamstwo i zepsucie. I wiesz, Maniu, gdybym cię nie znał nawylot, gdybym cię niemal od dziecka nie chował przy sobie, sądziłbym, że i na ciebie musiało miasto złe oddziaływać, skoro tak bardzo żółcią zioniesz na wszystko i na wszystkich. Ktoś mi podrażnił moją Manię, co to do słonka wstała i śpiewała dzień cały, jak skowronek. A toż, panie tego, obejrzyj się choć i tu u nas a zobaczysz i ład i uczciwość i prawdę naokoło siebie. Wczoraj nagle przy herbacie napadłaś na zepsucie i przewrotność

kobiet, żyjących w mieście. Szczęściem, że ci Żabusia w porę przyszła, bo zaraz umilkłaś i już moja żona jedna rozgadała się i popierała twoje argumenta. Ale ani babcia, ani dziadzio nie byli z tego zadowoleni, ho! ho! widziałem ja to z ich oczów.

Marya (grając). Mało mnie to obchodzi!

Bartnicki (wstając zaczyna chodzić po pokoju z założonemi rękami i mówi jakby do siebie). Ale mnie obchodzi. Rodzice Żabusi są dla mnie świętością i mam dla nich przywiązanie syna. A co do Żabusi to, panie tego, tak mnie dobrocią swoją popsuła, że prosto modlić mi się chce nieraz do niej. Ja nigdy sobie nie wyobrażałem, żeby kobieta mogła być takim aniołem...

Marya (zamykając fortepian). Och!...

Bartnicki (chodzi dalej po pokoju). Jak ona potrafiła mnie przyhołubić, rozpieścić, rozkochać. Mówi mi „Raku“, „Raku“ i po twarzy głaszeze a ja co? ot prosta dusza, posesorskie dziecko i przy niej co? zawsze parobek, choć niby się w mieście jakoś w biurze otarłem i teraz jak nie politykę przeczuć naprzód potrafię (staje przed siostrą). Wiesz, Mańka, strach, jaki mam nieraz żal do ciebie.

Marya. Za co?

Bartnicki. Bo widzę, że ty dla Żabci nie masz serca a ona dla ciebie taka łaska-

wa, taka dobra, żeby i siostra ci już taka nie była. Ej, Mańka, Mańka!... myślę, że ty jesteś zła w gruncie, kiedy możesz Żabci nie kochać. (Marya ~~milezając~~ kieruje się ku drzwiom przedpokoju). Gdzie idziesz?

Marya. Wracam do siebie.

Bartnicki. O, zaraz dasy! Widzisz, jaka ty niepocziwa, ty jedna mi szczęście zatruwasz, bo to raj prawdziwy byłby ten kąt, gdybyś i ty ku Żabci trochę serca miała. A tyle razy cię Żabcia prosiła, żebyś u nas zamieszkała.

Marya. Ja? tu? nigdy!

Bartnicki. No dobrze! dobrze! kiedy nie chcesz, mniejsza z tem. Choć mnie serce boli, że ty sama, młoda dziewczyna, komornem gdzieś tam u obcych mieszkasz.

Marya. Ja lubię swobodę.

Bartnicki. Ależ to nie wypada.

Marya (gwałtownie). Dla mnie wypada to wszystko, co jest w zgodzie z moją moralnością i sumieniem.

Bartnicki. Zapewne... ale mnie jako twemu bratu boleśnie to i przykro (obejmuje ją i prowadzi na przód sceny). Wszak my dwoje tylko sobie rodzonych i po śmierci rodziców żyli tak cicho, tak składowie tam w Rokatyczach. Ja cię, Mańka, pracować nauczyłem, ty mi książki po pracy czytała... kalendaryz Ungra i inne ładne rzeczy, potem

w sąsiedztwo przyjechała Żabusia z rodzicami, ot... zakochałem się odrazu, ślicznota bo była... ty się zaraz bocyć zaczęła. I ciągle się boczysz... A zapomniała ty, jakem cię w chorobie doglądał a potem słabą na rękach do ogrodu wynosił, bo na słońce patrzeć chciałaś, aj! ty kapryśna, ty... zła, zła dziewczyno!

Marya (całując gorąco brata). Mój Janku! mój ty biedny! nieszczęśliwy Janku!

Bartnicki. Masz tobie, teraz beki i zaraz „biedny, nieszczęśliwy“!... Dlaczego nieszczęśliwy? Przeciwnie, jestem bardzo szczęśliwy i chcę, żeby wszyscy koło mnie byli szczęśliwi. Chodź tu usiądź i powiedz mi. Sprowadzisz się do nas?

Marya. Nie!

Bartnicki. Czemu?... czy przez to, że nie lubisz Żabusi?

Marya. Nie! lecz...

Bartnicki. Więc powiedz szczerze przyczynę. Jesteś zanadto względem mnie skrytą.

Marya. Tak, masz rację, czyniąc mi za to wymówki. Nie powinnam nie ukrywać przed tobą dłużej. Byłeś mi zawsze dobrym bratem i kochałeś mnie bardzo. Nie mogę sprowadzić się do was, bo zaręczyłam się miesiąc temu.

Bartnicki. Ty? z kim?

Marya. Nie pytaj mnie na razie. Wiedz

tylko, że jest to człowiek młody, dzielny i energiczny. Jest na dorobku tak jak ja i poglądy nasze zgadzają się niemal na wszystkich punktach. Ma jechać na wieś i starać się o jaką posesję. Wówczas weźmie mnie za żonę.

Bartnicki. Dlaczego nie powiedziałaś mnie wcześniej zanim przyjechał jakieś zobowiązanie. Byłbym się dowiedział coś bliższego o jego charakterze, o jego stosunkach rodzinnych i finansowych.

Marya. W życiu przywykłam radzić się tylko samej siebie.

Bartnicki. Przyjęte jest jednak, że rodzina dowiaduje się zwykle kto jest ów narzeczony. Ot, gdy babcia i dziadzio oddawali mi Żabusię, dowiadawali się o moją reputację w całej okolicy.

Marya. Tak, dowiadawali się czy nie masz długów i nie handlowałaś końmi mającymi szpata. Ale ty czy dowiadawałaś się kim była twoja narzeczona?

Bartnicki. Co też ty pleciesz?... panna na wydaniu, to... panna na wydaniu. Rodzice gwarantują...

Marya. A charakter?

Bartnicki. Panna, panie tego... nie ma jeszcze żadnego charakteru, później ma taki, jaki jej mąż wyrobi.

Marya. Więc charakter Żabusi urobił się pod twoim wpływem?

Bartnicki. Sądzę, panie tego, i jestem z tego dumny.

Marya (~~patrzy na niego chwilę poczem wstaje, wzrusza ramionami i przechodzi do fortepianu~~). Ach! ty biedny Raku!

(~~Stoi oparta o pianino~~).

Bartnicki. Powiedz-że mi przynajmniej czy kochasz swego narzeczonego?

Marya (po chwili). Kocham.

Bartnicki. A on?

Marya. Kocha.

Bartnicki. Dzięki Bogu! Będziecie żyli tak jak ja i Żabusia i wszystko będzie w porządku.

Marya. Nie jak ty i Żabusia! Nie. Wiesz ja mam za mało kobiecego wdzięku i uroku, ażeby z mego męża zrobić sobie raka, który będzie siedział z Nabuchodonozorem na ręku pod piecem i czekał aż powrócę ze spaceru. U nas role będą zmienione. Ja będę pod piecem czekać spokojnie a mój mąż będzie spacerował.

Bartnicki. Kiedy mnie tak jest do brze! jak Boga mego kocham. Ja nie więcej nie pragnę, niczego nie żądam.

Marya. Tem lepiej, mój bracie, tem lepiej.
(Dzwonek).

Bartnicki (radośnie). Żabusia!
(Niańka otwiera drzwi, widać wchodzących Milewskiego i Milewską opakowanych płaszczami).

Niańka (z przedpokoju). Starsi państwo!
Bartnicki. Babcia! Dziadzio!
(Idzie do przedpokoju pomaga im rozebrać się z futer).

SCENA V.

MILEWSCY, MARYA, BARTNICKI.

Milewski. Żabcia w domu?

Bartnicki. Wyszła.

Milewski. Tem lepiej. Prawda, babciu, sprawimy jej niespodziankę (wchodzą do pokoju).

Milewski. Dzień dobry pannie Maryi!

Marya. Dzień dobry.

Milewski (niosąc doniczki). Oto są hja-centy i fijołki, które kupiliśmy dla Żabusia. Fiołki parmeńskie wyhodowane w kraju, pachną cudownie. Powąchaj, zięciu... No dobrze! dobrze! nie wtykaj tak nosa, bo kwiaty połamiesz...

Milewska. Czy jeszcze do herbaty nie nakryte? Mój Boże, Żabcia wróci ze spaceru i herbaty nie zastanie. Franciszko! Franciszko!...

Milewski. Chciałem kupić nicejskie, ale zapachu nie miały.

Milewska (do Franciszki wchodzącej z lewej). Dalej! obrus! serwetki! samowar!

Milewski (do Bartnickiego). Cóż w biurze?

Bartnicki. Nic, wszystko po staremu.

Milewski. Robota ciężka?

Bartnicki. Dziadzio żartuje. Cały dzień gada się, panie tego, o polityce.

Milewski. To źle, trzeba pracować, coś z tego... biuro na to jest, na pisanie.

Bartnicki. Kiedy niema co pisać.

Milewski. To pisz listy do żony... do Żabci, ale pisz, bo się rozpróżniaczysz do reszty. I tak utyłeś, wyglądasz jak radca. Prawda, panno Maryo.

Marya. Przeciwnie... ja znajduję, że mój brat zmizerniał...

Milewski. Z pani wieczna przekora. Nie to, co nasza Żabcia. Jej powiedzieć czarno, ona zaraz „czarno, dziadziu, czarno“, ja znów biało, ona „biało, dziadziu, biało“. Anioł, nie kobieta, rodzicom się nigdy nie sprzeciwi a panna Marya to zaraz cjur, ciur, ciur, jak mały kogutek (z umizgiem). Taka śliczna panienka i taka sekutnica! (Marya się odsuwa). Rozgniewałem panią, przepraszam pokornie, ale proszę darować mnie staremu... Cofam sekutnicę, niech będzie... kapryśnica

śliczna kapryśnica... Cóż jeszcze się gniewulki?

Marya (z ironią). Nie, panie, nie gniewulkam się wcale.

(Odechodzi w głąb).

Milewski (do Bartnickiego). Tetryczeje... jak Boga kocham, tetryczeje, trzeba zamąż wydać, bo wiesz... stara panna już coś... tego!.. Ja się znam na tem!

(Przechodzi niańka i niesie na tacy filiżanki, Milewski ogląda się na żonę i szczypie niańkę w łokieć).

Niańka. O Jezu! co też to starszy pan wyrabia?

Milewska. Co się stało!

Milewski. O mało nie upuściła filiżanek z ręki. W sam czas jej dopomogłem...

Bartnicki (śmiejąc się do Milewskiego). Hi! hi! a to dziadzio kłamię...

Milewski. Bo muszę! (głośno). Wie babcia co? ustawimy doniczki przed talerzem Żabci i przykryjemy serwetą. Jak wróci będzie miała niespodziankę.

Milewska. Tak! tak! doskonała myśl.

Bartnicki. Czy Franciszka przyniosła dla pani cytrynę?

Franciszka. Naturalnie. Jeszcze żebym czego dla pani zapomniała!

(Wszyscy zbliżają się do stołu i zajmują miejsca).

Milewski. Gdzie też ona poszła w taki deszcz, w taką wicherę?

Milewska. Czy aby wzięła kalosze? Franciszka! Czy pani wzięła kalosze?

Franciszka (biegnąc do przedpokoju). Nie, kalosze stoją tutaj.

Milewski. A, mój Boże, Żabusia się przeziębi.

Milewska. To вина Jana. Dlaczego pozwoliłeś jej wyjść bez kaloszy!

Milewski. Tak, dlaczego pozwoliłeś wyjść Żabci bez kaloszy?

Franciszka. Cemu pan puścił panią przez kaloszy?

Bartnicki. Nie wiedziałem, jak Boga kocham, nie wiedziałem.

(Dzwonek).

Wszyscy. Żabusia!

SCENA VI.

(Franciszka biegnie, otwiera drzwi wchodowe. Staje w nich Helena w rozpiętym żakiecie. Wpada, rzuca żakiet w przedpokój. Wchodzi do pokoju. Ma różową bluzkę, aksamitną spódnicę, włosy jasne, rozrzucone. Rzuca kapelusz i parasolkę na ziemię i z głośnym śmiechem rzuca się w objęcia dziadzi, babci i mężowi).

Franciszka Franciszka (biegnie ku drzwiom na lewo).

Niania! samowar a duchem, pani przysła!

Milewski (całując córkę). Chwała Bogu, że jesteś nareszcie.

Milewska Milewska. Nie zziębłaś? nie przemoczyłaś nóżek?

Żabusia. Nie, babciu, nie! No i cóż biedny Raku? nie poszedłeś na gazety? Czekaj, ja ci coś za to przyniosłam. Ukradłam dla ciebie „Figaro“... jak babcię kocham, ściągnęłam z kija i wpakowałam w kieszeń. Nikt nie widział. Masz, czytaj.

Milewski. Co ta wyprawia!

Milewska Milewska. Siadaj! napijesz się herbaty!

Żabusia. Nalej mi babciu i włóż dużo cukru. Dobry wieczór, Maniu!

Marya (odsuwając ją, półgłosem). Popraw włosy... zgubiłaś na tym spacerze wszystkie szpilki.

Żabusia (przez chwilę zmieszana). A prawda! (potrząsa głową i rozrzuca włosy). Tak będzie najlepiej!

Milewski. Patrzcie na nią, czysta wioch-
na!...

Milewska Milewska. Aż jaśniej się zrobiło, kiedy Żabcia wróciła.

(Sługi krzątają się koło stołu).

Żabusia. Nabuchodonozor! gdzie jest Nabuchodonozor?

Bartnicki. Przynieście dziecko!

(Niania wybiega).

Żabusia. Kwiaty! jakie cudne! pachną! Dziadzio kupił... już widzę, bo brwi marszczy (wnosząc Jadzię). Dawajcie mi córkę! moje ty... moje ty... złote! srebrne! ukochane! z tysiąca wybrane! Dziadzio też kochany i babcia też a Rak to już taki ulubiony, że na całym świecie niema więcej kochanego Raka.

(Siada na kolanach mężowi, trzymając córkę).

Bartnicki. A co Żabcia robiła aż na Długiej ulicy?

Żabusia. Ja? na Długiej? ja nie byłam na Długiej.

Bartnicki. Byłaś.

Żabusia. A może i byłam, ale nie powiem po co, bo to dla kogoś (patrzy na dziadzię) będzie niespodzianka!... A teraz... szal!...

Jechał pan,
Za nim chłop
A za nimi żydóweczki,
Pogubiły patyneeczki
Hop! hop!

(Milewski i Bartnicki powtarzają chórem pio-

senkę Żabusi, która podskakuje wraz z dzieckiem na kolanach męża, w głębi służy zachwycone, na przodzie sceny Marya nieruchoma, oparta o pianino patrzy z ironią na osoby siedzące przy stole).

Zasłona spada.

AKT DRUGI.

Ta sama dekoracja, co w akcie pierwszym. Na ziemi siedzi Żabusia w różowym szlafroczyku i bawi się z małą Jadzią zabawkami. Opodal niańka ceruje pończochy.

SCENA I.

ŻABUSIA, NIAŃKA.

Żabusia (ustawia zabawki) Tak!... tu będzie dom, tu drzewo, tu żołnierz... a tu poza domem dziedziniec... Ot tak, znów drzewo, płot i dwie owce... no! Nabuchodonozor!.. nie przewracaj zabawek, skoro mamusia tak ślicznie ustawia... Niańka! skocz do dziecinnego pokoju i przynieś samowar, co go wczoraj dla dziecka kupiłam... Będziemy nastawiać...

Niańka. Jeszcze się panienska poparzy...

Żabusia. Głupia jesteś... to nie panienska, ale my będziemy nastawiać. Nalej w samowar wody, nałóż węgla i przynieś tutaj —

G. Zapolska. Żabusia.

a żywo! Rzuć te pończochy... teraz będziemy się bawić.

Niańka. Lecę! (wybiega).

Żabusia (ustawia znów zabawki). Niech Nabuchodonozor nie rusza, bo dam po łapie... (spogląda na zegarek) druga!... O trzeciej Rak przyjdzie z biura i pójdzie z Manią do reagenta... Jadzia!... bo jak babcię Kocham dam po łapie, jak będziesz psuła mamusi zabawki... Około wpół do czwartej mogę przyjąć Juliana (do córki). Oddaj drzewo kiedy ci mówię... no!...

(Krzyczy, dziecko płacze).

SCENA II.

MANIEWICZOWA, ŻABUSIA, MAŁA JADZIA, później NIAŃKA.

Maniewiczowa (wchodząc przez drzwi balkonowe). Dzień dobry! cóż to za krzyki?

Żabusia. To Nabuchodonozor! dałam mu po łapie! szkaradny dzieciak! (nagle rzuca się na dziecko z wybuchem wielkiej czułości). Skarby moje! szczęście mamusine!.. wszystko ty moje na świecie!..

Maniewiczowa. Co za temperament.

Żabusia. Nie temperament, tylko strasznie Kocham tego brzdąca... Są matki, które podobno zdaleka swoje dzieci od siebie cho-

wają. Żeby mi kto zabrał Nabuchodonozora, tobym chyba umarła!

Maniewiczowa. We wszystkim egzaltacja!

Żabusia. Nie!... jak Bożę Kocham, prawdę mówię...

Maniewiczowa. Tak więc bardzo Kochasz swoje dziecko?

Żabusia. Także pytanie? jak tu nie Kochać takiego Nabuchodonozora? taką pyzatką będę? no jak tu nie Kochać?

Maniewiczowa. Ty i Raka Kochasz?

Żabusia. A jakże... jak nie Kochać Raka, kiedy to Rak taki Kochany, że już drugiego niema na świecie.

Maniewiczowa. A Julian?

Żabusia. E! Julian to Julian a Rak to Rak...

Maniewiczowa. Nie rozumiem tej klasyfikacji.

Żabusia. Bo ty jesteś inna kobieta... ty wyłącznie Kochasz siebie samą i po za sobą nic nie widzisz.

Maniewiczowa. Tak, ty masz dobre serce.

Żabusia. Pewnie, że mam dobre serce.
(Chwila milczenia).

Maniewiczowa. Nie gniewasz się, że przeszłam przez balkon?

Żabusia. Gniewać się?... owszem jestem bardzo rada, że kazaliśmy zrobić w kracie furtkę... Nie potrzebujemy wchodzić i schodzić ze schodów. Nie cierpię chodzić po schodach, będziemy mogły częściej się widywać.

Maniewiczowa. Ba! wtedy chyba, skoro ja do ciebie przyjdę. Ty jesteś zawsze zajęta. Jeżeli nie wychodzisz na spacer, to wiesznie masz coś do czynienia w domu.

Żabusia. Spodziewam się! Mąż, dziecko, dwie służki—całe gospodarstwo na mojej głowie. A obejrzyj się dokoła jaki ład, jak czysto... codzień sama kurz obcieram a pytasz się czy mojemu mężowi albo dziecku co brakuje? Wszystko na czas i obiad i bielizna i froter i rachunek... a jakże!...

Maniewiczowa. Widzę, widzę—jesteś wzorem żon i matek.

Żabusia. Ja tak jak babcia. Dziadzio był zawsze z babci kontent.

Maniewiczowa. Ale... czy wiesz, że z dziadzia straszny jeszcze lowelas. Kiedyś prawil mi takie rzeczy i komplementa, że aż rumienić się zaczęłam. Mnie się zdaje, że on jeszcze do kobiet się zaleca.

Żabusia. Co to szkodzi, jeżeli babcia nie wie o tem.

Maniewiczowa. A więc to głównie chodzi o to, ażeby babcia nie wiedziała.

Żabusia. Spodziewam się. Jeżeli żona nie wie i jest zupełnie szczęśliwa, mąż może robić co mu się podoba.

Maniewiczowa. Mania byłaby innego zdania.

Żabusia. Mania jest głupia sensatka. Pozuje na oryginalność i zdaje się, że jest bocianem, który świat czyści.

(Wchodzi niania).

Niania. Proszę pani, jest samowar.

Żabusia (zrywając się). Gdzie? pokaż!

Niania. Ostrożnie, bo się pani poparzy.

Maniewiczowa. Co za czad!... wyścieście tutaj tą truciznę, nabawi nas bólu głowy!

Żabusia. Szkoda!... chciałam zobaczyć czy się nie zagotuje. Napiliłybyśmy się herbaty.

Maniewiczowa. Dziękuję!

Żabusia. Postaw samowarek na ganku i weź Nabuchodonozora. Zostaw zabawki... ja się będę jeszcze bawiła.

(Niania z dzieckiem wychodzi).

Maniewiczowa. Czy ty nigdy nie spoważniesz?

Żabusia. Po co? czy ja komu tem krzywdę sprawiam a sama tak się dobrze bawię.

Maniewiczowa. Zapewne, innym tem krzywdy nie sprawiasz, ale wyrządzasz złe samej sobie. Jesteś zanadto roztrzępa-

na, możesz się wplątać w jaką brzydką awanturę.

Żabusia. Ja? cóż to znaczy! Byleby tylko drudzy na tem nie cierpieli... a ponieważ wszyscy kochają mnie taką, jaką jestem i czują się ze mną szczęśliwi—więc ja zawsze do śmierci będę Żabusią.

Maniewiczowa. Siostra twego męża cię nie kocha!

Żabusia. Ach dzięki Bogu, że dochodzi dziś właśnie do pełnoletności, podniesie te sławne tysiąc rubli posagu i pojdzie za męża. Miła z niej będzie żona! Wyniesie się z miasta i przestanie mnie prześladować swoją osobą.

Maniewiczowa. Widziałas jej narzeczonego! Musi to być nielada okaz!

Żabusia. Wyobraź sobie, że do tej pory ani ja, ani Rak, nie znamy go wcale. Taka skryta!

Maniewiczowa. Boi się może, ażeby ten pan się w tobie nie zakochał.

Żabusia. Albo w tobie! Zasługiwałaby na nauczkę... Przedstaw sobie, ciągle mi daję do poznania, że się domyśla dużo rzeczy i że ja jestem... niegodziwą kobietą. (Chodzi po pokoju tam i napowrót, założywszy w tył ręce). To mnie oburza... bo przecież nikt mi nie ma do zarzucenia. Nie postępuję tak jak inne kobiety. Nie Kocham

się w przyjaciółach mego męża, tylko zawsze w kimś kogo Rak nie zna. W ten sposób nie narażam na śmieszność Raka, bo to zawsze jest mój mąż i nie powinien tracić na powadze.

Maniewiczowa. Zapewne—ale często sama narażasz twego męża na śmieszny sytuację. Pamiętasz jak kazałaś mu czytać głośno korespondencje prywatne, w których były wiersze na cześć twoją.

Żabusia. A to zupełnie co innego... to ja!... Mnie, jego żonie, wolno się śmiać z mego męża, ale nie zniosłabym, gdyby się ktoś obcy z niego wyśmiewał.

Maniewiczowa. No a ja? wszakże i ja wtedy śmiałam się do rozpuku.

Żabusia. A ty, to co innego, ty jesteś przyjaciółką jego żony... (Idzie ku drzwiom balkonowym). O! idzie szacowna panna Marya! patrz jak ona wygląda! chodząca poważnie... jak to idzie po trotuarze jak kaczka.

Maniewiczowa. Uciekam!

Żabusia. Proszę cię zostań! Skoro ty tutaj jesteś, może powstrzyma swój sarkazm i przestanie mi dokuczać. A potem mam ci coś powiedzieć... Ty wiesz jak ja lubię śmieszne sytuacje... (Wechodzi Marya). Pst!... cicho!... To dziwne; jej obecność zawsze mi rezon odbiera.

SCENA III.

MANIEWICZOWA, ŻABUSIA, MARYA.

Marya. Dzień dobry!

Żabusia (idąc ku niej nieśmiało). Dzień dobry, Maniu.

Marya. Janek nie wrócił jeszcze do domu?

Żabusia. Nie, za chwilę powróci. Zaczekasz?

Marya. Tak. (Idzie na prawo). Niech się panie mną nie krepują proszę bardzo!..

(Siada z boku i bierze książkę).

Maniewiczowa (do Żabci). Wycho-
dzisz dziś po obiedzie?

Żabusia. Nie wiem... może...
(Obie udają wielką swobodę, ale powoli gło-
su im obu brakuje i siedzą nie wiedząc co
mówić).

Maniewiczowa. Byłam wczoraj w tea-
trze... nowy baryton jest zachwycający.

Żabusia. Ach tak, zwłaszcza gdy ma czar-
ną perukę...

Maniewiczowa. Ja go wolę jako blon-
dyna.

Żabusia. Ja zaś jako bruneta.,,

(Pauza).

Maniewiczowa. Pójdę jutro kupić so-
bie wiosenny kapelusz.

Żabusia. Ja także...

Maniewiczowa. A... tak?

Żabusia. Jak Babcie Kocham. (Pauza).

Marya podnosi się i nie odrywając oczów od
książki wychodzi do pokoju dziecka. Manie-
wiczowa i Żabusia patrzą się na siebie i wy-
buchają śmiechem).

Żabusia. Uważałaś?

Maniewiczowa. Naturalnie. E! mniejsza
z tem, co mi to chciałaś powiedzieć?

Żabusia (przysuwając się). Ale nie po-
wiesz nikomu?

Maniewiczowa. Nikomu!

Żabusia. Zaklnij się, że jak nie wiem co,
nikomu nie powiesz...

Maniewiczowa. No, nie nudź... a po-
wiedz!

Żabusia. Wiesz... Julian tu dziś przyj-
dzie...

Maniewiczowa. Tutaj? wszakże mi
mówiłaś, że nie wie kto jesteś...

Żabusia. Naturalnie, że nie wie i w tem
cały sztyk!

Maniewiczowa. Ale skoro tu przyj-
dzie, to się dowie.

Żabusia. Właśnie że nie i w tem polega
rzecz cała. Dał mi słowo honoru, że nie spoj-
rzy na listę lokatorów i nigdy nie będzie się
starał dowiedzieć u kogo był.

Maniewiczowa. I wierzysz, że on to zrobi?

Żabusia. Wierzę. Najprzód dał słowo honoru a ja słowu honoru mężczyzny wierzę a potem nie masz pojęcia do jakiego stopnia ogłupienia ja go doprowadziłam... Taki rozumny człowiek... bo on jest bardzo rozumny.

Maniewiczowa. Chciałabym go kiedy zobaczyć.

Żabusia. Wiesz... jakby ci go opisać... on jest tak zupełnie w rodzaju ot... Maryi. Poważny, niby taki uczciwy, mądry... Często zupełnie tak samo mówi jak ona... albo jak ona się odezwie... to jakbym jego słyszała...

Maniewiczowa. Jakże więc taki sensat mógł się zakochać w takiej jak ty kobiecie...

Żabusia. Właśnie... tu cała sztuka. Jak go zobaczyłam po raz pierwszy w Botanicznym ogrodzie na ławce, zamyślnego, z papierosem przylepionym do ust, mówię sobie phi! projekt na samobójcę...

Maniewiczowa (*ciągnąc*). A że masz dobre serce.

Żabusia. A że mam dobre serce...

Maniewiczowa. Dotąd kręciłaś się koło niego z Nabuchodonozorem, aż wydarłaś tą ofiarę szponom śmierci...

Żabusia (*śmiejąc się*). A tak!...

Maniewiczowa. Po co ty go tu sprowadzasz?

Żabusia. Chciałam, żeby zobaczył jak mieszkam!

Maniewiczowa. Szczególniejsze zachowanie... Ale teraz, uciekam!... bądź zdrowa! gdzież mam klucz od furtki... A za paskiem...

Żabusia. A ja idę się przebrać.

Maniewiczowa. Po co? wszakże zostajesz w domu?

Żabusia. Nie mogę przyjąć Juliana w szlafroku.

Maniewiczowa. Dlaczego?

Żabusia. To nieprzyzwoicie!

(Maniewiczowa wychodzi przez drzwi balkonu, Żabusia wybiega do swego pokoju.)

SCENA IV.

MARYA, później BARTNICKI.

Marya (*wychodzi z pokoju dziecinnego*)
Nareszcie poszły... można będzie odetchnąć swobodniej. Och!... jak mi jakoś dziwnie, głowa mnie boli... Wstałam od rana jakaś nieswoja... Jakie życie jest smutne, och!... jakie smutne...

(Dzwonek. Przez scenę przebiega niańka i idzie otworzyć, Marya idzie ku stolikowi i układa książki.)

Bartnicki. A!... jesteś już siostruniu? Nie mogłem wcześniej uwolnić się z biura. Sądzę, żeś na mnie nie czekała.

Marya. Chwilę tylko... Byłam u dziecka.

Bartnicki. Gdzie Żabusia? dlaczego nie poszłaś do Żabusi?

Marya. Towarzystwo małej Jadzi jest przyjemniejsze...

Bartnicki. Jadzia ~~mówić~~ *lepiej mówić Marysia* nawet nie umie.

Marya. Właśnie dlatego.

Bartnicki. Czy jesteś dzisiaj znów w złym humorze?

Marya. Nie. Tylko jestem smutna.

Bartnicki. Czy ci się co przytrafiło?

Marya. Nie.

Bartnicki. Więc o co ci chodzi?

Marya. O nic!...

Bartnicki. A twój ślub? kiedyż narzeczcie zdecydujesz się na to małżeństwo. Czasby już największy... przedstaw że mi twego narzeczonego.

Marya (~~po chwili~~ wahania). Być może, że to nastąpi niezadługo...

Bartnicki. Niezadługo... niezadługo... Takie długie a sekretne przed rodziną narzeczeństwo, to sensu nie ma. Sama Żabcia mówiła, że to nieprzyzwoicie.

Marya. A... skoro Żabcia tak mówiła...

Bartnicki. Ona się zna na tem i wie co wypada a co nie wypada. Przyznam ci się, że ani ona, ani ja nie mamy ochoty, aby źle o nas mówiono...

Marya. Jako źle z mego powodu?

Bartnicki. Z twego. Przyśpiesz twój ślub i niech się to raz skończy...

(Marya mileży chwilę, wreszcie wybucha płaczem).

Bartnicki (chwytając ją z tyłu za ramiona). Maniu!... Maryś!... co tobie?... czy ten twój narzeczony skrzył kominka? powiedz a jak Boga kocham wyzwę i rozplątam na ćwierci...

Marya (hamując się). Nic mi nie jest... to chwilowe dziecinne wzruszenie... Już przeszło. Chodźmy do rejenta.

Bartnicki. Chodźmy. Tylko się z Żabcią pożegnamy. Pieniędzy twoich lokować nie trzeba. Skoro idziesz za męża, będą ci potrzebne na wyprawę. Prawda?

Marya. Zapewne.

Bartnicki. (nagle). Dlaczego ty masz tak mało do mnie zaufania? masz jakieś zmartwienie, ja to widzę... no przypuszczam, że mnie nie chcesz powiedzieć, ale Żabusi możesz. Kobiety łatwiej się porozumieją. Chcesz, żebym zawołał Żabci?

Marya (stanowczo). Nie!... tysiąc razy nie.

Bartnicki. Niechże i tak będzie. Skoro taka jesteś skryta to będziesz... to bądź sobie, panie tego... skryta...

SCENA V.

Ciż sami, ŻABUSIA.

Żabusia (w różowej sukience). Jesteście jeszcze w domu? myślałam że już wyszliście oddawna.

Bartnicki. Któraż to, panie tego, godzina?

Żabusia. Trzecia.

Bartnicki. Uf!... spóźnimy się... Mańka... Chodźmy... gdzie mój kapelusz?

Żabusia. Czekaj zatracony Raku, niech ci krawat poprawię. Wychodzisz na ulicę jak obdartus. Wstyd tylko Żabusi robisz... Tak a teraz pocałować Żabcię...

Bartnicki (całując ją). Sto razy, nie raz. Żabusia (do Maryi). Pocałować Żabcię!

Marya (usuwając się). Wezmę książkę i zmienię w czytelní. Od trzech tygodni widzę „Krwawą trucicielkę“ Boisgobeya... Czy mam wziąć ciąg dalszy tej wielce zajmującej powieści?

Żabusia. Nie, zresztą, nie bierz książek do zmiany. Ja ich i tak nie czytam.

Marya. Po co abonujesz?

Żabusia. Albo ja wiem... dla zwyczaju... Zresztą ja mam kuryerek... to mi wystarcza.

Bartnicki. Chodźmy! chodźmy! Bądź zdrowa, Żabusi.

Żabusia. Do widzenia Raku.

(Całuje serdecznie męża. Marya i Bartnicki wychodzą).

SCENA VI.

Żabusia (sama biegnie do drzwi balkonowych). Wychodzą z bramy!... Przechodzą ulicą!... Rak się ogląda!.. pa! pa! Biedny Rak! o potknął się... może stłukł sobie nogę... nie! nie mu nie jest... oddycham!... (biegnie do lustra). Zaraz Julian przyjdzie... chciałabym, żeby mu się u nas podobało. Ja się na tem nie znam, ale zdaje mi się, że tu jest bardzo ładnie... O wachlarz się przekrzywił (poprawia wachlarz), pójdę na balkon ażeby pilnować przyjscia Juliana. Nie trzeba ażeby dzwonił i sługi go widziały. ~~Choć nianka z Nabuchodonozorem poszła do babci... (patrzy przez okno balkonowe).~~ Niema go... Może nie przyjdzie... Kto to wie. Przysłał na to przyjscie z taką niechęcią... Bogiem a prawdą zaczyna mnie już nudzić. Skoro na niego spojrzę zaraz mi się Mania przypomina (patrzy na ulicę). Idzie!... jak babcię Kocham!... widzi mnie! Tu! tu! o! potknął się! byleby się tylko nie uderzył, albo sobie nogi

nie zwiechnął. Nie—oddycham. Wchodzi do bramy... pędzę do przedpokoju!... (Biegnie do przedpokoju, po chwili wprowadza Juliana).

SCENA VII.

ŻABUSIA, JULIAN.

Żabusia. Tutaj... proszę do salonu.

Julian. A... to salon?

Żabusia. Tak ubraliśmy go po-japońsku, to jest, ja ubrałam, bo mój mąż się do niczego nie wtrąca. (Chwila milczenia. Stoją oboje zakłopotani. Żabusia nagle). Siadaj.

Julian. Dziękuję!...

(Chwila milczenia).

Żabusia. Tu jest salon a tu jest pokój Nabuchodonozora a tu pokój Raka a tu jadalnia a tam kuchnia a tu balkon.

Julian (ironicznie). A na górze strych a na dole piwnica.

Żabusia. Proszę nie być ironicznym... zaraz Mania mi się kłania.

Julian. Ciągłe słyszę o tej Mani, cóż to za Mania?

Żabcia. To nikt.

Julian. A, nikt?

Żabusia. Nikt. (Chwila milczenia). Ładnie tutaj?

Julian. Bardzo ładnie.

Żabusia. Tu zawsze Rak w tym fotelu czyta swoje gazety a te fiołki to mi babcia i dziadzio przynieśli tydzień temu wieczorem... kiedy wróciłam do domu po widzeniu się z Tobą.

Julian. Aha!...

(Chwila milczenia).

Żabusia. To fotografia... to Nabuchodonozor jak miał osiem miesięcy.

Julian. Widzę.

(Chwila milczenia).

Żabusia. Ładnie tu?

Julian. Ładnie.

Żabusia. E! bo może tak mówisz, żeby mi zrobić przyjemność.

Julian. Nie, daję słowo... ładnie.

Żabusia. A tu na balkonie mam kwiaty—o! śliczne oleandry... (zbliża się do okna, Żabusia odskakuje i odciąga Juliana). Scho-waj się!

Julian. Co się stało?

Żabusia. Mój mąż!...

Julian. Masz tobie!

Żabusia. Uciekaj!...

Julian. Którędy?

Żabusia. Przez kuchnię... (dzwonek). Zapóźno!... na balkon!...

(Wypycha go na balkon, do pokoju wchodzi Bartnicki i Marya).

G. Zapolska. Żabusia.

SCENA VIII.

ŻABUSIA, BARTNICKI, MARYA, na balkonie JULIAN.

Bartnicki. Wyobraź sobie Żabciu spóźniliśmy się, nie zastaliśmy reagenta.

Żabusia (tajemniczo). Ach! moi drodzy! co za szczęście, żeście powrócili!

Bartnicki. Dla czego?

Marya (patrzac na balkon). Ktoś jest na balkonie.

Żabusia. Tst... nie oglądajcie się! To cała historia! patrzcie jak się cała trzęse... prawda? to ze strachu.

Bartnicki. Cóż to? złodziej? trzeba posłać po policy!

Żabusia. Złodziej? to gorzej niż złodziej... Wyobraźcie sobie, że tego pana przez furtkę balkonową, wepchnęła na nasz balkon Maniewiczowa.

Bartnicki. Dlaczego?

Żabusia. Jakto dlaczego? to...

Bartnicki. A!...

Żabusia. Tak!

Bartnicki (duszac się ze śmiechu). Jak Boga kocham!... a to biedny Maniewicz!

Żabusia. Teraz chodzi o to, żeby Maniewiczową z biedy wyciągnąć. Trzeba tego pana koniecznie ztąd wyprowadzić. Tymcza-

sem zdaje mi się, że Maniewicz się czegoś domyśla i czatuje na jego wyjście, w której sąsiedniej bramie. Mój złoty, brylantowy, jedyny Raku... wyprowadź ty go z domu. Skoro z nim będziesz szedł, Maniewicz pomyśli, że to twój znajomy i nie będzie go napastował...

Marya (do brata). Spodziewam się, że do tego ręki nie przyłożysz...

Żabusia. Dlaczego?

Marya (gwałtownie). Bo żona oszukująca męża jest istotą godną pogardy i powinna na zasłużoną ponieść karę...

Żabusia. Ja sama także potępiam tego rodzaju kobiety... Maniewiczowa jednak jest dla mnie bardzo uprzejmą, dobrą i nie mam prawa odmówić jej pomocy w tak ważnej chwili. Trzeba ratować kobietę.

Bartnicki (z nagłą determinacją). Tak panie tego!... trzeba ratować kobietę!... (Idzie ku drzwiom balkonowym. Marya odwraca się plecami, tak że nie widzi w pierwszej chwili Juliana. Bartnicki, otwierając drzwi). Proszę pana!... (Julian wychodzi i staje na progu zmieszany i niezdecydowany. Bartnicki prezentując się). Jestem Bartnicki!... żona moja mi, panie tego, wszystko powiedziała... chodźmy... przeprowadzę pana...

Żabusia. Pan Maniewicz, który was podejrzewał stoi prawdopodobnie na dole i cze-

ka na pańskie wyjście. Mój mąż jest tak dobry, że chce pana przeprowadzić... ni-
by swojego znajomego... który był u nas
z wizytą... rozumie pan?

Bartnicki. Zechciej mnie pan wziąć
pod ramię i chodźmy, jak dwaj przyjaciele...

Julian. Doprawdy... nie wiem czy po-
winieniem...

(Na głos Juliana, Marya odwraca się szybko).

Marya. O!

Julian. To pani?...

Bartnicki. Znać się?

(Chwila milczenia).

Marya (z wysiłkiem). Nie... ja nie znam
tego pana.

Bartnicki. Chodźmy! tylko z fantazją,
mój młody panie! Idziesz zemną... więc ja
ręczę, że ci się nic złego nie stanie.

(Wychodzą Bartnicki i Julian).

SCENA IX.

ŻABUSIA, MARYA, później FRANCISZKA.

Żabusia (przy oknie). Wychodzą z bra-
my!... jak babcię kocham, wychodzą!

Marya (na przodzie sceny). On!... on!...

Żabusia (biegnąc do kuchni). Franciszko!...
Franciszko!

Franciszka. Słucham pani!

Żabusia. Idź do pani Maniewiczowej
i powiedz pani, że ja natychmiast przyjdę...
niech pani na mnie czeka.

Franciszka (przerywa). Kiedy proszę pa-
ni — pani Maniewiczowa już z pół godziny
jak wyszła z mężem na miasto.

Żabusia (zmieszana). Dobrze!... odejdz.

(Franciszka wychodzi).

Marya (zrywa się i rzuca się ku Żabusi).
Jezus Marya!... Jezus Marya!...

Żabusia. Maniu, co ci się stało?..."
(Skacze na kanapę zwijając się w kłębek).

Marya (w szalonym gniewie chwytając
ją za ręce). A niktzemnico!... to twój ko-
chanek!... nie tamtej!... nie tamtej!...

Żabusia. Puść mnie!...

Marya. Ach ty niktzemna!... zabiłaś mnie!..
(Pada zemdlona na ziemię. Żabusia pozosta-
je nieruchoma, klęcząc na kanapie z oczyma
utkwionemi w leżącą Maryę.

Zasłona spada.

AKT TRZECI.

Ta sama dekoracya co w akcie pierwszym i drugim. Za podniesieniem zasłony w drzwiach przedpokoju stoi niańka gotowa do wyjścia, owinięta chustką, trzymająca na ręku małą Jadzię, ubraną w płaszczyk i kapturek. Obok stoi Żabusia i poprawia na dziecku ubranie).

SCENA I.

ŻABUSIA, NIAŃKA, MAŁA JADZIA.

Żabusia. Niech niańka nadstawi łapę. Tu jest czterdzieści groszy tam i czterdzieści groszy z powrotem na dorożkę. A tu za dwadzieścia groszy kup Jadzi karmelków a sobie tam za dziesięć groszy czego.

Niańka. Dobrze proszę pani.

Żabusia. Panience się kłaniaj i nie siedźcie długo. Wracajcie przed wieczorem.

Niańka. Rozumiem proszę pani.

Żabusia. A z dorożki nie wyleć... i trzymaj dobrze Nabuchodonozora, żeby nie wyleciał...

ŻABUSIA.

55

Niańka. Dobrze proszę pani.

(Żabusia całuje córkę).

Żabusia. No wynoście się swoim kosztem i wracajcie prędko... (Woła do przedpokoju). A zasłoń dziecko woalką, bo się opali... (Biegnie do okna balkonowego). Żeby tylko zaraz znalazła dorożkę... ~~Może lepiej było~~ posłać kucharkę po jednokonkę... Stoją na trotuarze... Mój Nabuchodonozor!... moje śliczności, moja księżniczka. (Wysuwa się na balkon, ale zostawia drzwi szeroko otwarte). pa!... córeczko!... pa!... widzi mnie...

SCENA II.

BARTNICKI, ŻABUSIA.

Bartnicki (idzie ku balkonowi. Jest schylony, trochę zmieniony i smutny). Jest... gdzież ona?... a na balkonie.

Żabusia. Patrz Raku... Nabuchodonozor dryndą jedzie!...

Bartnicki. Jak Boga kocham prawda! (Przesyła dziecku pocałunki i wracają na scenę). Posłałaś dziecko do Mani?

Żabusia. Tak!... mówiłaś mi, że prosiła cię, aby Jadzia dziś po obiedzie do niej przyjechała.

Bartnicki. Właśnie wracam od Mani. Czeka na dziecko!

Żabusia. Jakże się dziś czuje?

Bartnicki (macha ręką). Nieszczerólnie. Osłabiona bardzo, ledwo się na nogach trzyma.

Żabusia. Ale już w łóżku nie leży?

Bartnicki. Nie.

Żabusia. Co mówi doktor?

Bartnicki. Że powrót do zdrowia będzie bardzo długi... trzeba ją wysłać na wieś, albo w góry.

Żabusia (szybko). Tak!... tak!... najlepiej będzie, skoro wyjedzie z Warszawy. (Pochwili). Czy to prawda, że jej włosy obcięli.

Bartnicki. Spodziewam się... zapalenie mózgu... jakże chcesz!... (Z nagłym wybuchem). A, biedna moja Mańka... taka znieniona! taka zmarnowana! Ci co ją w tą chorobę wtrącili, ciężki mi za nią rachunek oddadzą.

Żabusia (zmieszana). Ależ mój drogi... Choroba Mani przyszła sama... bez niczyjej winy... zapewne za dużo czytała. Ja zawsze mówię, że kobieta nie powinna być zamądra. Te wszystkie książki, ta cała literatura, teraz Mani zrobiły to, że jej wszystkie włosy wyszły.

Bartnicki. To nie książki Żabciu... to ludzie!

Żabusia (niespokojna ramionami wzrusza). A ja ci mówię, że książki.

Bartnicki. A ja ci mówię, co wiem napewno.

Żabusia. Co wiesz napewno?

Bartnicki. To, że moja biedna siostra jest nieszczęśliwą przez dwoje nikczemnych ludzi, którzy jej życie zatruli.

Żabusia. A!...

Bartnicki. Tak!... tak!... ty tego nawet zrozumieć nie możesz, bo ty jesteś dobre i poczciwe dziecko, ty nie wiesz nawet, jakiego rodzaju nikczemne, panie tego, kobiety chodzą po Bożym świecie (zrywa się). I pomyśleć, że to ja, panie tego, ratowałem tych dwoje szubrawców i wyprowadzałem tego pana z bramy pod rękę.

Żabusia (kurcząc się instynktownie). Cóż ma twoja siostra do całej historii Maniewiczowej z tym panem?

Bartnicki. Co ma? co ma?... A wiesz ty, kto jest ten błazen, którego nam twoja pani Maniewicz na balkon wyrzuciła?... To narzeczony Mani...

Żabusia. O!...

Bartnicki. Tak, ten narzeczony, którego nam miała wreszcie przedstawić i który miał się z nią ożenić!... I ta wymalowana nikczemnica romansowała z nim tymczasem, sprowadzała go do swego domu, odbierała go Mani, mojej Mani, takiej Mani!...

Żabusia (cicho). Od kogo się o tem dowiedziałeś? od Mani?

Bartnicki. Od niej? taka skryta, że w gorączce nawet jeszcze liczy się ze słowami. Jakiśmy ją ztąd wtedy z ziemi podnieśli i nieprzytomną do domu zawieźli... to tylko powtarzała ciągle „zabili mnie! zabili mnie“!... No i tak było ciągle—zresztą wiesz o tem dobrze. Już ci to mówiłem... Doktor mówi, że to może tyfus... a drugie a trzecie, nawet ty dlatego do niej chodzić nie chciałeś, ale ja to wiesz, tak chłopskim rozumem powiadam sobie—to nie tyfus panie tego, co mi tak je moją dziewczynę... to zgryzota!... I skoro już tak było źle, że ot! ot!... śmierć była za progiem, ja panię myślę... gdzie ten narzeczony? dlaczego o nim ani widu, ani słychu... może on mi wyratuje dziewczynę... bo go strasznie kochała. Więc zacząłem przewracać jej papiery, myślę, może się ślad jaki znajdzie ~~kto, gdzie ten pan...~~ znajduje listy... czytam panie tego, rozumne, mądre, pół rozumiem, pół nie... ot zrozumiałem tyle, że ją nazywał ciągle kobietą wyższą!... patrzę... fotografia! do lampy z nią pod światło... mrowie mnie przeszło, poznałem tą gębę... to ten sam, com go z balkonu zabrał i pod rękę z bramy sprowadził, krew mi zbiegła do serca... zrozumiałem wszystko. Mańka tu była wtedy, dowiedziała się, że ten blazen ją zdradzał i tak sobie to wzięła do serca, że aż zachorowała. A nawet... czekaj!...

pamiętasz, jak on wyszedł z tego balkonu to oboje spojrzeli się na siebie i pogłupieli!... pamiętasz?

Żabusia. Nie pamiętam!

Bartnicki. Bo też i ty wtedy byłaś taka wystraszona i zmieszana, że i o ciebie się bałem... I to wszystko przez tę przekłątą!... Dam ja jej romanse!

Żabusia. Cicho!... nie krzycz!...

Bartnicki. Dlaczego nie mam krzyczeć!... będę krzyczeć!... niech jej mąż posłyszy... Co ona sobie myśli? że ja pozwolę dla ocalenia jej sytuacji, tak panie tego, moją siostrę krzywdzić...

(Żabusia idzie ku drzwiom balkonowym i zamyka je).

Bartnicki. A tą furtkę co kazała sobie w kracie dorobić, żeby tu co chwila przylażyć, każe zamknąć od dziś na taki panie tego rygiel, że go żaden ślusarz ani kochanek nie odśrubują... (Po chwili spokojniej). Czy wiesz Żabciu, że ja u niego byłem.

Żabusia (szybko). Byłeś po co?...

Bartnicki. Jaki po co. Żeby go panie tego nauczyć rozumu i obić panie tego za jego łajdactwo... Adresu domacałem się i dopytałem u tych ludzi, u których Mańka mieszkała, bo syn ich nieraz do niego z listem biegał.

Żabusia (wahająco) I... widziałeś go?...

Bartnicki. Nie, bo szelma uciekł!... jak ostatni tchórz... wyjechał!...

Żabusia (z uczuciem ulgi). Wyjechał.

Bartnicki. Ale ja go dogonię!... Rozpytywałem tam o niego w kamienicy, stróża... chciałem wiedzieć mniej więcej coś o nim... i wiesz? ta Maniewiczowa musiała dobrze pieniędzmi sypać, bo o niej stróż ani dudu... a tylko o jakiejś innej, blondynce... o małej... (nagle) Żabcia, czy ty czasem do niego nie chodziła?

Żabusia (przerażona). Ja?

Bartnicki. Ty, bo ty masz takie pocziwe serduszko, żeś gotowa dla oddania komuś usługi Bóg wie co, zrobić... Mogła cię Maniewiczowa posłać z jaką karteczką, albo z ustnem poleceniem. Powiedz mi, chodziłaś? lepiej się przyznaj.

Żabusia. Nie Raku, nie chodziłam!

Bartnicki. Jak mnie kochasz?

Żabusia. Jak cię Kocham!

Bartnicki. Ale pewnie nieraz Maniewiczowa prosiła cię o to?

Żabusia. Prosiła... ale ja nie chciałam.

Bartnicki. Oddycham!... Która to godzina? Siódma! Dlaczego ten dziadzio nie przychodzi.

Żabusia. A po co ci dziadzi?

Bartnicki. Muszę się z nim naradzić, co zrobić z tym błaznem i jak go odnaleźć.

Żabusia. To dziadzio wie?

Bartnicki. Spodziewam się, że wie!

Żabusia (zrywając się). Po co? po co? jeszcze babci powie!

SCENA III.

Ciż sami i MANIEWICZOWA przez drzwi balkonu.

Maniewiczowa (za drzwiami stuka). Czy wolno?

Żabusia. Ona? proszę cię, mój Raku, odejdź... ja sama ją przyjmę...

Bartnicki. Nie!... to ja panie tego ją przyjmę... oddawna chciałem się z nią spotkać, ale ty zawsze przeszkodziłaś...

Żabusia. Raku!... ja nie chcę!

Bartnicki (idzie ku drzwiom balkonowym). Pozwól, to do mnie należy... (Otwiera drzwi, ale nie wpuszcza do pokoju Maniewiczowej).

Maniewiczowa (wesół). Cóż to zamknęliście się, przed kim? przedemną?

Bartnicki. Zamykamy te drzwi odkąd nieszczęście niemi weszło pani dobrodziejko.

Maniewiczowa. Nieszczęście? przez balkon?...

Bartnicki. Tak... a że my swój spokój cenimy bardzo... więc panie tego... choć mi

to bardzo boleśnie, ale uprzedzam panią do brodziejkę, że te drzwi będą zawsze zamknięte...

Maniewiczowa. Co panu jest, panie Raku?... czy zaczynasz cierpieć na zawroty głowy?...

Bartnicki (z hamowanym gniewem) Moja główna choroba — to uczciwość! i to choroba całego mojego domu... całej mojej rodziny! Ja chcę, żeby próg mojego domu nie był splamiony nigdy nogą szubrawców a taka żona, panie tego, co kochanków do domu podczas nieobecności męża wpuszcza... to jest... panie tego... ja już wiem co ona jest!...

Żabusia. Raku, proszę cię!...

Maniewiczowa. Co to wszystko znaczy?

Bartnicki. Niech pani przedemną nie udaje i oczów nie mruży, bo ja choć, panie tego, narazie na prośby Żabusi panią wyratowałem... ale kpić z siebie nie dam. A o Żabcię mi także chodzi. To dobre, niewinne i czyste dziecko. Pani mi ją możesz popsuć a już dosyć nieszczęścia na ten dom spadło... Dlatego pani daruję.. ale.. (z gestem). Kłaniam.

(Wychodzi trzaskając drzwiami).

Maniewiczowa. Co się dzieje?

Żabusia (szybko). Nie! nie! nieporozumienie... zlituj się nademną... nie przychodź tutaj... ja to naprawię wszystko jakoś... Zresz

ta już tak zrobię, że się ztąd wyprowadzimy! moja droga! moja droga daruj to wszystko! ale... ja ci powiedzieć nie mogę, bo tybyś się na mnie gniewała...

Maniewiczowa. Czyś ty czasem jakiegoś swojego wybryku na mnie nie spędziła?

Żabusia. Ja? cóż znowu! jak babcię Kocham nie! Tylko Rak zrobił się taki podejrzliwy... i to wszystko przez tę Manię... to ona go tak zbuntowała...

Maniewiczowa. Przyznam ci się, że robicie na mnie wszyscy wrażenie szpitala waryatów i twój mąż nie potrzebuje mi drzwi zamykać, aby mi odebrać ochotę przychodzenia do was przez czas dłuższy... Żegnaj cię, moja droga... i pamiętaj co ci powiedziałam. Strzeż się wplątać w jakąś awanturę... twój spryt i twoja przebiegłość nie na wiele ci się wtedy przydadzą. Nerwy wezmą górę i... zgubią cię!... bądź zdrowa!...

(Wychodzi przez balkon i znika).

SCENA IV.

Żabusia (sama. Ściemnia się). I... zgubiła cię!... o!... zdaje mi się nagle, że nie mam dachu nad głową... Zimno!... to był jej narzeczony!... (nagle). Jezus Marya!... jeżeli ona to wszystko Rakowi powie!... co ja zrobię!... co ja zrobię!... (po chwili). Dlaczego

ta niańka nie wraca? jeszcze mała się za-
ziębi. Nie mogłam odmówić żądaniu Mani
i nie posłać do niej dziecka. Boję się teraz
sprzeciwić jej w czemkolwiek... Ze strachu
głowę tracę.

(Wychodzi do swego pokoju).

SCENA V.

MILEWSKI, FRANCISZKA, później BAR-
TNICKI.

Franciszka. Niech starszy pan pozwoli!
ja zaraz pana zawołam.

Milewski. Rozdarłem sobie palto.

Franciszka. A czegoż to starszy pan
przez kuchnię przyszedł?

Milewski. Żeby ciebie zobaczyć.

Franciszka. Ojej, także zachcenie. (Idzie
do Bartnickiego i woła). Proszę pana, star-
szy pan już przyszedł.

(Idzie do kuchni).

Bartnicki. A!... nareszcie... wie dziadzio...
ten szubrawiec wyjechał.

Milewski. A cóż miał innego do zrobie-
nia. Zawsze w takich razach mężczyzna
wyjeżdża.

Bartnicki. Ale ja go odnajdę. Dziadzio
mi dopomoże.

Milewski. A czego ty właściwie chcesz
od niego? -

Bartnicki. Chcę mu uszy obieć!

Milewski. W takim razie nie spiesz się
zbytecznie. Ja myślałem, że ty masz inne
plany.

Bartnicki. Jakie?

Milewski. Ja myślałem, że ty chcesz
wpłynąć na tego pana i na twoją siostrę...
zgodnie i dodatnio.

Bartnicki. Jaki? niby żeby Mańka
przebaczyła?

Milewski. Aha.

Bartnicki. I poszła za niego?

Milewski. Naturalnie. Skoro go kocha
i ponieważ to już było ułożone...

Bartnicki (krzyżąc). Ale dziadzio za-
pomniał, że on ją zdradził!

Milewski. O!... zaraz zdradził, zdradził.
Mężczyzna nie zdradza, tylko... się zapomina.
A zresztą można Mani wytłómaczyć, że się
pomyliła, że to wszystko nie prawda!...
W kobietę wszystko można wmówić!... Ona
tylko na to czeka.

Bartnicki. Inna kobieta—nie Mańka.

Milewski. Głupi jesteś... Niema innych
kobiet... są tylko kobiety.

Bartnicki. Mańka nie przebaczy.

Milewski. Przebaczy! Gadanie!... A zresz-
tą cóż znowu tak strasznego?

G. Zapolska. Żabusia.

Bartnicki. Jakto co strasznego? Był zaręczony i miał kochankę!

Milewski. Wielka historia!

Bartnicki. Dla mnie wielka historia.

Milewski. Bo ty, oprócz Żabusi już innej kobiety na świecie nie widzisz... Nie dziwnego — bo też takiej Żabusi na świecie nie znajdziesz. Ale też panna Mania... to nie Żabusia. Daruj mój drogi, ale twoja siostra to czysty pastor w spódnicy. Cóż dziwnego, że młody chłopiec tego... ten...

Bartnicki. Dziadzio go uniewinnia.

Milewski. Spodziewam się. Wszystko zależy od usposobienia. Ty masz takie usposobienie a ktoś inne. Cóż ja winien naprzykład, że mnie ciągle coś za babami ciągnie... Czy to moja wina, że nie umiałem się kochać tylko w babci całe życie? Ha!... A czy przez to babcię mniej kocham? co? nie. A czy może babcia nie jest szczęśliwa? bo nie nie wie... O! w tem cała filozofia... trzeba ażeby i ona nic nie wiedziała. Zdradzać można tylko tak, ażeby to na wierzch nigdy nie wyszło. Jak nie wyjdzie to i wilk syty i owca cała.

Bartnicki. El... prawda jak oliwa na wierzch wypływa.

Milewski. A ot u mnie nie wypływa... Dwadzieścia sześć lat... i babcia przysięgłaby, że jestem wzorem mężów. Trzeba mieć

dobrze łąć. O!... tu cała sztuka!... i nigdy się nie przyznać. Co do mnie, jestem przekonany, że Mania przebaczy i że będziemy jeszcze na weselu. Gdzie Żabcia? chcę się z nią pożegnać i chodźmy do cukierni. Pogadamy jeszcze po drodze... Zamiast obcinania uszów, kup lepiej obrączki...

Bartnicki. Nigdy!...

Milewski. Głupi jesteś. Wierz staremu... ja wiem co jest żyć!... chodź!...

Bartnicki. Żabusia!...

SCENA V.

Ciż sami, Żabusia.

Żabusia. Wołasz mnie Raku?

Bartnicki. Tak, wychodzimy z dziadziem...

Żabusia. Dobry wieczór dziadziowi!...

(Gaśnie ojea).

Bartnicki. Co ci to Żabciu? masz oczęta czerwone? płakałaś?

Żabusia. To nic, głowa mnie boli.

Bartnicki. Zmartwiłaś się, że wyrzuciłem za drzwi Maniewiczową? Ale jak Boga kocham inaczej postąpić nie mogłem.

Żabusia. Nie, to mi wszystko jedno... tylko niespokojna jestem... niańka z dzieckiem nie wraca.

Bartnicki. Nie im się nie stanie. Mania musiała im zrobić czekoladę i bawi się z Nabuchodonozorem... Nie widziała dziecka blisko od miesiąca... Niech się z nią nacieszy.

Żabusia. Wołałabym żeby już Jadzia była w domu.

(Idzie ku drzwiom balkonowym, nachyla się i patrzy na ulicę).

Milewski (patrzy na nią). Cacko!... nie dlatego, że moja córka, ale... cacko!... To nie żadna sztuka, że jej nie zdradzasz. Babcia także mnie nie zdradzała, nawet jej to przez myśl nie przeszło. Żabcia wdała się we mnie jak dwie krople wody... przypomina mnie zupełnie i z charakteru i z wyglądu... (do Bartnickiego). Więc przepędziłeś tę Maniewiczową?

Bartnicki. Ajakże... bez pardonu!...

Milewski. Miałeś rację. Co nam, mężczyznom wolno, to kobietom zasię... Kobieta powinna być jak kryształ... o! jak Żabcia!... Już my ją z babcią na pokusy uzbroili!... Ta ma zasady! Możesz być spokojny.

Bartnicki. Spodziewam się (do żony). Dowidzenia Żabciu, może ci przynieść antypiryny?

Żabusia. Nie Raku!... dziękuję... (Dławiąc się łzami, uwiesza u męża na szyi). Ja ciebie bardzo kocham, Raku!

Bartnicki. Moje ty Żabstwo brylantowe!

Milewski. Przyjdziemy wieczorem z babcią... zagramy w loteryjkę...

Żabusia. Przyjdźcie!...

(Odprowadza ich do przedpokoju)

SCENA VI.

Żabusia (sama. Ściemniło się zupełnie. Żabusia idzie do okna balkonowego i patrzy). Nie widać ich!... Boże, jakbym chciała, ażeby dziecko już było w domu! (Wzrusza ramionami). Głupia jestem, nieraz przecież Jadzia wracała jeszcze później od Babci i nic się jej złego nie stało... Może deszcz pada? nie! nie! sucho i ładnie... (wraca na przód sceny). Ciemno już... zapalę lampę, nie będzie tak smutno! (Zapala lampę i znów idzie do okna). Jakaś dorożka, nie... jedzie dalej!... (bije ósma). Już ósma!... zapalają gaz. (Nagle jakby ją coś za serce chwyciło). O!... żeby tylko Mania milczała!... żeby ona tylko nie Rakowi nie powiedziała... zaraz mnie dreszcze, przejmują, kiedy o tem myślę... Boję się... zawołam Franciszkę i zrobię z nią rachunek... będzie mi weselej... zajmę się czem... O!... (Pociera rękę po czole i idzie do kuchni i woła). ~~Franciszko!~~ Franciszko!... (milczenie). Niema jej!... wyszła i zostawiła drzwi otwarte!... zaczekam! (owija się szalem i siada w kąciку). Jak mnie głowa boli!... (zamyka oczy, chwilowa pauza).

SCENA VII

ŻABUSIA, MARYA.

(Przez drzwi otwarte wchodzi Marya, ubrana czarno, w pelerynce zarzuconej na ramiona. Na głowie ma czepeczek wiązany pod brodę i kryjący zupełnie jej głowę bez włosów. Jest bardzo zmieniona. Wszedłszy zamyka za sobą drzwi kuchenne i staje naprzeciw Żabusi oświetlona lampą, podczas gdy Żabusia jest w cieniu).

Żabusia (otwiera oczy, dostrzega Maryę i krzyczy). To ty!

Marya. Ja!...

Żabusia. Gdzie Jadzia?

Marya. U mnie!

Żabusia. Chora?

Marya. Zdrowa...

Żabusia. Dlaczego jej nie przywiozłaś?

Marya. Bo twoja córka już do tego domu nie wróci.

Żabusia. Nie wróci?... Jadzia?...

Marya. Tak!... nie krzycz!... krzykiem nic nie naprawisz. Pamiętaj, że i ty i twoje dziecko jesteście moralnie w moim ręku. Lepiej milcz i słuchaj co ci mówić będę. To obrachunek pomiędzy nami a ta chwila przyjsie nareszcie musiała. Powinnaś była na to się przygotować...

Żabusia (krając). Czego ty chcesz odemnie?... czego ty chcesz odemnie?... (chowając się za fotel). Nie zrób mi nic złego!

Marya. Nie lękaj się... nie uczynię ci żadnej fizycznej krzywdy...

Żabusia. Ja nie jestem winna, to on!...

Marya (z ironią). To samo i on mi napisał... ja nie jestem winien — to ona!... para zbrodniarzy, rzucająca na siebie wzajemnie odpowiedzialność za spełnioną zbrodnię... Nawet z godnością swej podłości nosić nie umiecie!...

Żabusia. Oddaj mi moje dziecko!

Marya. Nie zasługujesz na to!... Wiedziałam oddawna, że jesteś występna. Przeczuwałam to instynktem kochającej siostry; mnie twe słodkie minki nie zwiodły, twa święta naiwność, twój wdzięk i pieszczoty nie budziły we mnie zaufania. Od dziecka boję się kotów i takich jak ty pieszczotek! Ile razy wracałaś ze schadzki z rozrzuconymi włosami i płonącymi oczyma i chwytając w swe objęcia dziecko, całowałaś swego męża, rodziców — ja usuwałam się od ciebie i drżałam ze wstrętu. Robiłaś na mnie wrażenie gadziny, podczas kiedy inni, ci oszukiwani, nazywali cię wiochną i promieniem słońca!... (po chwili). Wszystko to jednak były moje domysły, moje przeczucia... na nich nie mogłam oprzeć swego oskarżenia.

Los jednak zrządził, że kochankiem twoim został... mój narzeczony!

Żabusia (szybko). Ja nie wiedziałam... gdybym wiedziała, przysięgam ci...

Marya. Postąpiłabyś tak samo!

Żabusia. Nigdy!... Skoro tylko byłby znajomy i bywał w domu... to przecież... nie... ja taka zła nie jestem!...

Marya. Chwilami patrząc na ciebie czuję, że mnie przytomność opuszcza. Ty masz cały odrębny kodeks moralności, który sobie stworzyłaś i wysnułaś z twego ptasiego mózgu. I według tego kodeksu, ty i tobie podobne oplątujecie rozum i serca ludzi, kłamstwem cukrowym osładzacie waszą nikczemność! I świat oczarowany waszym wdziękiem stawia dla was kapliczki uwielbienia, zamiast powlec was na pręgierz i ochłostać różgą pogardy i nienawiści!...

Żabusia (zakrywając twarz). Ja taka zła nie jestem!

Marya. Nie, ty nawet jesteś bardzo dobra, bardzo poczciwa Żabusia! Ty kochasz wszystkich i męża i dziecko i kochanka. Ty pogodzić wszystko potrafisz... i obowiązki żony i matki i... kochanki!...

Żabusia. Czego więc chcesz odemnie?

Marya. Czego ja chcę? Chcę, żeby to życie kłamstwa i nikczemności, w którym przebywa mój brat i jego dziecko skończyło

się z dniem dzisiejszym! Nie sądź, że przemnie przemawia znieważona w swych uczuciach narzeczona! Nie—narzeczonego mego rzucam ci na pastwę, możesz się z nim połączyć, jeżeli zechcesz, ale brata mego oszukiwać ci nadal nie pozwolę. W chwili, gdy Julian ukazał się w tych drzwiach—serce moje zamarło, bo miałam dowód jego zdrady względem mnie. Zapanowałam jednak nad bólem moim i powiedziałam, że nie znam tego człowieka. W kilka chwil później wskutek twej własnej nieostrożności, poznałam całą ohydę twojej zdrady względem mego brata. Wtedy... siły mnie opuściły, przeraziłam się stojąc wreszcie wobec twej zbrodni. Ogrom twego kłamstwa był dla mnie uderzeniem piorunu... (ciecho). O mało nie umarłam. (Chwila mileżenia). Jak ja go przecież chroniłam od zetknięcia się z tobą!... Nie mam wiele doświadczenia, bo skąd go mieć mogę? ale mam instynkt, który mi mówił: „skoro się tych dwoje pozna, kłamać będą wspólnie“. A przecież Julian nie jest przeciętnym człowiekiem. Każda inna kobieta w jego powadze, w jego inteligencji byłaby widziała dostateczną ilość odpornej siły przeciwko pokusom takiej jak ty istoty. Ale ja widząc jak obmotałaś w swe sieci najuczciwszego człowieka, jakim jest mój brat, lękałam się, że podziałasz w ten sposób i na

Juliana. Chłopski mój rozum mówił mi, że w mężczyźnie ani uczciwość, ani inteligencya nie mają nic wspólnego z tem, co wy, Żabusie nazywacie szaleń, czy namiętnością. Nie zawiodłam się, bo choć nie wprowadziłam pod wasz dach Juliana, potrafiłaś jednak znaleźć go i połączyć się z nim na moje nieszczęście... (nagle). Powiedz mi przynajmniej, dlaczego ty to uczyniłaś?

(Żabusia milczy).

Marya. Dlaczego?

Żabusia (cicho). Ja... nie wiem...

Marya. Czy kochałaś go przynajmniej.

Żabusia. Nie wiem.

Marya. Otóż to właśnie! nie wiem, to jedyna twoja wymówka... ty... nieodpowiedzialna, niepoczytalna lalko bez mózgu, ze zbyt do-
brem sercem!... Z tem słodkim słowem nie wiem, popełniasz występki za występkiem i całe twoje władze umysłowe wyteżasz w jednym tylko kierunku. Okłamać tak wszystkich, aby ci wszyscy czuli się zadowoleni. I tryumfujesz kochana, ubóstwiają, stawiana później za wzór swoim własnym dzieciom, skoro te dorosną. A jedyną cnotą twoją, jedyną zasługą jest to, żeś zręcznie i bez zająknięcia kłamać umiała. (Po chwili). Ale dość o tem, to co się stało nie wróci. Powtarzam ci raz jeszcze, możesz się połączyć ze swoim kochankiem... Ja wam

nie będę stać na drodze. (Podnosząc ton i silniej). Trzeba jednak, ażebyś zrozumiała czego chcę od ciebie! Mój brat dłużej z tobą żyć nie może... nie będzie... zrozumiałaś mnie?

Żabusia (blednąc ze wzruszenia). Rak... ze mną?... dlaczego?

Marya. Bo ja na to pozwolić nie mogę!

Żabusia. Powiesz mu?

Marya. Nie, to ty mu sama powiesz!

Żabusia (z płaczem). Ja?... nigdy!...

Marya. A jednak powiesz... skoro zrozumiesz o co idzie. Mąż twój bezwarunkowo dowie się o wszystkim. Jeżeli ty mu sama nie powiesz, ja go o wszystkim uwiadomię, gdyż milczeć dłużej sumienie moje mi zabrania. Mówiąc jednak, że jedyną twoją zaletą jest „kłamstwo“ pomyliłam się. Zapomniałam bowiem, że tak jak wiele kobiet takich jak ty, kochasz bardzo swe dziecko... prawda?

Żabusia. Kocham!

Marya. Tak, można być żoną występną, lecz zarazem wzorową matką!... To zdaje się niemożliwe a jednak jest tak — nie inaczej. Rozstając się z mężem, musisz także rozłączyć się z dzieckiem...

Żabusia (z krzykiem prawdziwego bólu). Nie!... nie!... zostawcie mi dziecko!... ja sobie ztąd pójdę, tylko zostawcie mi dziecko!...

Marya. Dziecko może zostać przy tobie..., tylko...

Żabusia (na kolanach). Co chcesz wszystko zrobić, tylko niech moja mała przy mnie zostanie! Ja ci straszną wyrządziłam krzywdę, to rozumiem! mówisz, że ukrzywdziłam także mego męża... może masz rację, ale ja nie wiem, że ja mu krzywdę zrobiłam! Ja mam już taką naturę... ja nie mogę się kochać zawsze w jednym i tym samym człowieku, ale ja tak zawsze postępowałam, że Rakowi się żadna krzywda nie działa! Ale... ty mówisz, że ja powinnam się z nim rozejść... dobrze!... ja się z nim rozejdę, tylko mi dziecka nie zabierajcie! tylko mi moją Jadzię zostawcie!... ja już będę inna! ja się poprawię! ja... się... poprawię!...

Marya. Wstań!... mam litość nad tobą, nad twem uczuciem matki. I choć sumienie moje nakazuje mi również i dziecko z rąk twych wydrzeć, jednak nie chcę pozbawiać cię wszystkiego w życiu. Zostawię ci dziecko a raczej wymogę na moim bracie, że ci dziecko zostawi. Ja jednak czuwać nad wami będę. Skoro dojrzę, iż jaś kłamstwa zaczynasz saczyć w duszę mojej córki, odbiorę ci ją natychmiast. Jeżeli jednak chcesz ażeby się to stało, musisz sama wszystko powiedzieć mężowi. Tą chwilą szczerości

zmażesz poczęści wszystkie dawne kłamstwa twoje i przekonasz mnie, że i ty prawdę powiedzieć umiesz...

Żabusia (nerwowo podniecona jak w gorączce). I dziecko mi oddasz?

Marya. Oddam!

Żabusia. Jak Bóg na niebie?

Marya. Jak prawda na ziemi! (Dzwonek). Jeżeli to twój mąż—wiesz co masz uczynić...

Żabusia (prawie nieprzytomna). Wiem... wiem... wszystko mu powiem, bo ty mu powiesz jeżeli ja... mu... nie zechcę powiedzieć... ja znam ciebie...

(Biegnie ku drzwiom przedpokoju otwiera drzwi wchodowe).

SCENA VIII.

MARYA, BARTNICKI, ŻABUSIA.

Żabusia (całą tą scenę gra jak w gorączce). Dobrze żeś przyszedł... usiądź!... albo nie!... ja ci muszę coś powiedzieć Raku!

Bartnicki. Co się stało?... ty cała się trzęsiesz jak w febrze... a!... Mania tutaj?... co to wszystko znaczy?

Marya. Twoja żona chce ci powiedzieć... (Usuwa się na bok).

Żabusia. Tak mam ci powiedzieć... to jest muszę ci powiedzieć... każą mi powiedzieć, że... ja... miałam kochanka...

Bartnicki. Jezus Marya!... ona ma gorączkę...

Żabusia (wyrzucając ze siebie słowa jak w gorączce). Nie... nie... ja wiem dobrze co mówię... Ja miałam kochanka... poznałam się z nim w Botanicznym ogrodzie... schodziłam się z nim często... (z krzykiem). Raku... ty się na mnie nie gniewaj—bo ja i ciebie także kochałam! (Do Maryi). Oddaj mi teraz dziecko!...

Bartnicki (cofa się z oczyma szeroko rozwartymi). Żabcia!... Żabcia!... co się z tobą dzieje? a toż mówisz takie herezye, że mi tchu brakuje jak cię słyszę... Sfiksowałaś? Mańka, co jej się stało? powiedz ty jej, że nawet przez usta pocziwej kobiety nie powinny przejść takie głupie słowa... Słyszałaś Mańka, co żona mówiła? (Mańka milczy. Żabusia padła przy kanapie. Bartnicki uczuwając zaniepokojenie). Dlaczego ty jesteś taka blada Mańka i dlaczego ty nie śmiejesz się z jej bzika?... Dlaczego ty się tak dziwnie patrzysz na mnie? Przemów co, powiedz, że... (Po chwili nagle przyskakując do Żabci). Matko Boża... może ona prawdę powiedziała?... Słuchaj Żabciu... powtórz raz jeszcze to coś mówiła...

Żabusia. Och! Raku!...

Bartnicki (chwytając jej głowę i sunąc rękami po jej twarzy). Ty płaczesz? ty na-

prawdę płaczesz, nie udajesz? Mańka także naprawdę jest blada... Wy nie kłamiecie? to prawda?... O!... o!... co będzie teraz? co będzie teraz?... (Pada na krzesło, po chwili łkając). Dlaczegoście mi o tem powiedziały? tacy byliśmy szczęśliwi...

Maryja. Nie mogliście dłużej żyć w ciągłym kłamstwie i wzajemnem oszukiwaniu się.

Bartnicki (płacząc). Kiedy nam z tem dobrze było! A teraz co? Ruina... pogorzelisko... Nie mam domu, nie mam żony... nie mam nic... (do Żabusi gwałtownie). Dlaczegoś to zrobiła? po co? odpowiedz!

Żabusia. Nie wiem!

Bartnicki (chodząc po pokoju i drąc włosy rozpaczliwie). Co teraz zrobić?... gdzie pójdę!... dla mnie już niema nic na świecie... zabiję tamtego... ale co mi z tego przyjdzie... nie wróci mój dom... nie wróci Żabcia... (Z głośnym jękiem padając na krzesło)! O!... niechby to już było... tylko czemuście wy mnie wszystko powiedziały! Było wszystko... a teraz niema nic! nie!... Mnie serce pęknie... Jaki ja biedny!...

(Długa chwila milczenia, słychać tylko płacz Żabusi i Bartnickiego).

Maryja (zrywa się i wchodzi pomiędzy nich). Dosyć! nie płacz Janku! czyż ty nie widzisz, że ona kłamie... że to jej zwykłe figle... (Do Żabusi ostro i cicho). Dalej...

skłam żeś skłamała, każę ci... nadto wielka ruina... kłam dalej, dalej... tak potrzeba dla jego szczęścia... przyszlę wam dziecko... kłam, każę ci!...

(Żabusia z krzykiem radości rzuca się do kolan męża).

Bartnicki. Idź precz!... idź precz! nie znam cię! muszę cię nie znać!

Marya. Kiedy to był żart... ułożona farsa... graliśmy ją wszyscy... nudno było... chciałam, chciałyśmy się zabawić...

Żabusia (nieśmiało powtarzając). Nudno było... chciałyśmy się zabawić...

Bartnicki. Jakże to się zabawić?... to zabawa? kiedy ja płaczę?...

Marya. Nie myślałam, że potrafisz tylko płakać i gdybym była wiedziała...

Bartnicki. To co? to co? no! gadajcie, czego się mam trzymać, bo oszaleć przyjdzie... Prawda czy nieprawda? niech wiem... bo toć łeb człowieka nie wytrzyma czegoś podobnego. Kiedyżeście kłamały! przedtem... czy teraz? No gadaj, Żabusia... Spójrz mi w oczy... albo nie — ty, nie... to Mańka niech powie... czy ona kłamała kiedy mówiła, że zna tego... jakiegoś z Botanicznego ogrodu i że go kocha?

Marya (szybko i żywo). O!... przysiądź ci mogę na wszystko, że kłamała wtedy, kiedy mówiła, że go kocha.

Bartnicki. No! jeżeli ty przysięgasz... (Po chwili z wybuchem serdecznej radości). A to baby!... a to mnie wzięły na fis!... a to komedyantki!... niechże was kaczki zdepczą... jak Boga mego kocham, jak Boga kocham! I rozbeczałem się głupiec, jak jaka baba... ~~A bo się naokoło mnie wszystko walić zaczęło i zdawało mi się, że mnie ktoś żywcem w trumnę wpakował... A to szkaradne zbytnice, jak to mnie zmanity!... No, że Żabcia ma szusa, to dawno wiadomo i nieraz mi już figla wypłatała... choćby wtedy jakieś list do mnie napisała, że żyć ze mną nie możesz a samaś w szafie siedziała... ale żeby Mańka się dała do tego namówić, to jak Boga mego kocham... no!... no!... trzeba już żeby ta Żabcia wszystkich na swoje kopyto przerobiła... No... no... (Wstaje chodząc po pokoju zaciera ręce i śmieje się hałaśliwie). A jak to sama beczala! o! Raku! Raku!... ja się z nim poznałam w Botanicznym ogrodzie. Komedyantka! jakby była na scenie, to niczem Modrzejewska!... Jak mi ty tak wygrywać będziesz! to cię jeszcze do komedyantów oddam... ty... ty... Żabo kochana. (Siada przy żonie całuje ją i pieści). A jak to czasem człowiek nagle rozum straci... A toż żebym się był zastanowił na chwilę, to byłbym zrozumiał, że to komedia, bo gdzież Żabciaby się takiej hańby dopuścić mogła.~~

G. Zapolska. Żabusia.

Moja Żabcia! nasza Żabcia. To ta Mańka winna, że się dałem obalać, bo to panna prawdomówna, nigdy niby nie kłamie, więc mnie jakby obuchem w łeb... uwierzyłem... Ej wy baby! komedyantki!... a jak to gładko kłamią!... Jezu miłosierny!... (Chwila mileżenia). Cóż obie nie mówicie? Takie jesteście kontente, że wam się udało i żeście mnie zwiodły? Tylko niech to będzie raz ostatni, bo jak Boga kocham mogło się stać nieszczęście. Ja byłbym się wypłakał a potem się do ciebie wziął... ty... Żaba... to byłyby z ciebie kosteczki nie pozostały... Tylko mnie to cieszy, że Mańka widać do zdrowia wróciła, skoro jej się żarty trzymają... A to jak Boga kocham koncepta... a to koncepta... Ale dzięki Bogu, że Mańka w figle się bawi. To dobry znak, widać zdrowie wraca... dzięki Bogu... dzięki Bogu... (Całuję siostrę i garnie ją do siebie — drugą ręką tuli Żabusię. Dzwonek).

SCENA IX.

Ciż sami, FRANCISZKA, MILEWSKI, MILEWSKA, NIAŃKA, MAŁA JADZIA.

Marya (na przodzie sceny do siebie). Nie mogłam inaczej uczynić!

Milewska (wchodząc). Czy jest tu panna Marya? wstąpiłam do pani i nie zastawszy jej, przywiozłam z sobą Jadzię...

Żabusia (rzuca się do dziecka). Moje dzidzi!... moje maleństwo!...

Bartnicki. Ostrożnie, udusisz jeszcze dziecko!

Milewski. Przyniosłem nowe szkiełka do loteryjki i pudełko angielskich cukierków takich, jakie Żabcia lubi.

Milewska. Zagramy zaraz w loteryjkę... a potem wypijemy herbatę...

Bartnicki. A ja wam opowiem, jakiego mi dziś figla pani Żabcia wypłatała...

Milewska. Figla!... aj ty!... ty... pieszczotko... ty zawsze myślisz, czym mężowi radość sprawić.

Bartnicki. Kiedy to nie był przyjemny figielek... przeciwnie, aż mi serce się tłucze jak nietoperz...

(Starzy przygotowują stół, rozkładają tabliczki, sypią szkiełka. Marya gotuje się do wyjścia).

Bartnicki. Jakto, Maniu, odchodzisz?

Marya. Tak.

Bartnicki. Dokąd?... Zostań... widzisz jak u nas wesoło...

Marya. Pójdę się nauczyć kłamać! — to i mnie będzie wesoło. (Wychodzi).

Milewski. Do loteryjki! do loteryjki!

Zasłona zapada.

K O N I E C.

DZIEWICZY WIECZÓR.

Akwarela sceniczna w jednym akcie.

O S O B Y:

BABUNIA.
MAMA.
TOSIA.
JÓZIA, zwana generałem.
FRANIA.
MANIA.
LILI.
MUSZKA.
LUNIA.
JULIA.
ZIUNIA.
MYSIA.
WISIA.
JANKA.
SŁUŻĄCA I.
SŁUŻĄCA II.

Manekin ze ślubną suknią.

Rzecz dzieje się w wigilię ślubu w zamożnym mieszczańskim domu.

SCENA I.

Scena przedstawia pokój paniński Tosi, jasny i czysty. Na lewo łóżko białe, zasłane koronkową kapą, nad niem białe firanki; łóżko zastawione do połowy białym parawanikiem, w pokoju porozstawiane białe meble, małe białe bióreczko, na niem fotografia mężczyzny bardzo przystojnego. Nad łóżkiem Niepokalane Poczęcie Murilla, na lewo od widzów tualetka podszyta gipiurą, lustro, małe, przyrządy toaletowe, na pierwszym planie dwa foteliki i stolik. Po prawej, plan trzeci, ukośno, pianino jasne udrapowane jasną tkaniną. Na niem palma i jakaś biała grupa — na stolikach duże kosze z samych białych kwiatów i paproci, ozdobione gołębiakami i kokardami z białego tarlatanu — świece w kandelabrach srebrnych błękitne. Dwie lampy białe z mlecznymi kloszami, zapalone. Na środku pokoju manekin, na nim wspaniała ślubna suknia z trenem, wieniec i welon. Wogóle wrażenie bieli, jasności, wesela. Przy podniesieniu zasłony scena pusta zupełnie. Po chwili wybiega Mysia.

(Mysia, malutka dziewczynka, ubrana w białe pończoszki, pantofelki białe, spódnice haftowaną, staniczek perkalowy wycięty,

włosy w papilotach — wbiega i chwilę stoi przed ślubną suknią w ekstazie, potem obchodzi ją dokoła wolno — wreszcie chwyta za wstążkę i całuje).

Mysia. Oh! ty śliczna sukienko! ty caca-na sukienko! ty bardzo śliczna sukienko! ty taka śliczna jak jaka księżna w bajce — trzeba ci się uklonić sukienko (dyga). Dobry dzień księżnej pani! Jak się ma księżna pani.

Ziunia (dziewczynka lat 10-iu ubrana także w pończoszki białe i pantofelki, w spódnicy, w staniczku, z włosami rozpuszczonemi).

Mysia. Chodźno, Ziuniu, patrz jaka sukienka.

Ziunia. Nie ruszaj, nie dotykaj rękami, to na jutro dla Tosi... idźże się ubierać...

Mysia. Kiedy mamcia czesze Tosię. Ja tu jeszcze zostanę, popatrzę na sukienkę.

Ziunia. Leki mi się nie trzymają, takie mam szkaradne włosy i zapomnieli mnie uszyć tiurniurkę do spodnicy... (szuka) nie ma tu gdzie gazety!

Mysia. Będiesz czytała?

Ziunia. Głupia jesteś, tiurniurkę sobie zrobię — nie cierpię jak tak z tyłu wpada... niema gazety! Idź, Mysia, do pokoju babci i złap tam jaką gazetę!

Mysia. Babcia będzie się gniewać.

Ziunia. To się powie, że kot albo służa. Idź, idź... dam ci za to konfitur... (Mysia wy-

chodzi na lewo. Ziunia stojąc przed suknią). Śliczna suknia... To rozumiem... Tren na dwa łokcie... W takim ubraniu, to kobieta może się podobać i ładnie wygląda, ale jak ją tak ubiorą jak mnie, to coś dziwnego, że się nikt na mnie nie patrzy. Ach! tak chciałabym pójść za męża, żeby mieć taką suknię...

SCENA II.

Babunia (bardzo stara kobieta, ubrana w jasną popielatą suknię — białą koronkę ma na włosach). Mysia! Mysia!... dlaczego mi wzięłaś gazetę — myślałaś, że ja śpię? to ty mi wykradasz kuryery.

Mysia. Ja, babciu... to nie dla mnie... to...

Babunia. Gdzie gazeta? aha! to panna Ziunia ma ją w ręku — co to? chcesz może czytać felieton? i zaraz! patrzcie ją... smarkata...

Ziunia. Czytać? Ja wcale nie myślałam czytać...

Mysia. Ona chce sobie zrobić tiurniurkę...

Babunia. Co? co? tiurniurkę? słyszane to rzeczy — za moich czasów, dzieci takie jak ty nie miały pojęcia o tem, co to jest tiurniurka...

Ziunia. Bo to nie było modnie.

Babunia. Nie... bo to nieprzyzwoicie. Połóż mi zaraz tą gazetę i idź się ubierać.

Ziunia (zadąsana). Czy znowu jak przyjdzie ten czuły narzeczony Tosi, mam siedzieć z nimi? Oni ciągle przedemną uciekają, babciu ja sobie z nimi nie mogę dać rady.

Babunia (z uśmiechem). Nie, pan Władysław dziś nie przyjdzie, dopiero jutro na ślub przyjdzie.

Ziunia (pochmurna). Babciu...

Babunia. Co Ziuniu?

Ziunia. To po ślubie Tosia z tym panem sama pojedzie?

Babunia. Pojedzie!

Ziunia. Samiutka jedna?

Babunia. Naturalnie.

Ziunia. A czy to będzie przyzwocie.

Babunia. Ach ty sroczko... przecież to będzie jej mąż... (Ziunia kręci głową z powątpiewaniem — głos za sceną woła: „Ziuniu“). Wołają cię, pewnie fryzyer przyszedł.

Ziunia (nagle zasepiona). I on mi nie nie poradzi... dwa dni z papilotami chodzę i jeszcze się nie trzymają.... (wychodzi na prawo).

SCENA III.

BABUNIA, MYSIA.

Babunia (staje przed suknią i patrzy na nią długą chwilę z westchnieniem; obok niej stoi Mysia).

Mysia. Babuniu, czy ty byłaś kiedy tak ubrana?

Babunia. Byłam moje dziecko!...

Mysia. A dawno?

Babunia. O dawno!

Mysia. Ale ja już wtedy żyłam?

Babunia. Ptaki o tobie jeszcze nie śpiewały — głuptasiu jedna. To było już tak dawno, że nawet ten ksiądz co mi ślub dawał — nie żyje.

(Siada na kanapie).

Mysia (po chwili). Powiedz babciu jak to ludzie umierają. Ja już dużo widziałam — jak kolejną jeżdżą, jak to w teatrze tańczyli, jak się bili na ulicy, że sobie nosy porozbijali a i ślizgawkę też widziałam, ale ja nie wiem jak ludzie umierają.

Babunia. Dowiesz się moje dziecko.

Mysia. A kiedy babciu, kiedy?...

Babunia (z westchnieniem). Może bardzo prędko Mysiu!

Mysia. Ty mi to powiesz, babuniu?

Babunia (po chwili). Ja ci nie powiem, ja ci pokażę moje dziecko jak się umiera...

Mysia (zachwycona). O babciu!

Babunia. Tylko ty wtedy będziesz spała moje dziecko, bo starzy ludzie najczęściej umierają nad ranem.

(Zasłania oczy).

Mysia. To mnie obudzą (po chwili). Ty płaczesz babuniu! Co tobie? Nie płacz. To przezemnie? Mysia była niegrzeczna?...

Babunia (wstaje). Ale nie, nie, nie przez ciebie... o!... widzisz, patrz lepiej jaka śliczna suknia. I ty kiedyś będziesz miała taką, jak będziesz szła za mąż.

Mysia. Za mężczyznę?...

Babunia. Naturalnie!

Mysia (z płaczem). Nie, ja nie chcę... ja tylko pójdę za mąż za ciebie babciu, albo za mamusię.

Babunia. Dobrze... dobrze... nie płacz...

SCENA IV.

Te same, SŁUŻĄCA (ubrana w biały kaftanik, biały czepek, fartuch biały, duży, który zasłania prawie całą suknię jasno-popielatą; później JANKA.

Służąca. Proszę starszej pani — panna Janka przyszła przez kuchnię.

Babunia. No to niech wejdzie!

Służąca. Ona mówi, że chce się widzieć z panią.

Babunia. Cóż to za komedia—może panna ma do kuchni do niej wychodzić? (idzie do drzwi i woła). Janko! Janiu!... a chodźże tu. (Służąca poprawia świece w kandelabrach i wychodzi).

Janka (wchodzi; słuszną, wysoką panną, bardzo ładną, bladą i wzruszoną — odzianą ciemno w żakiecie i czapeczce na głowie).

Babunia. Cóż tam robisz w kuchni?

Janka (całując w rękę babcię). Ja chciałam...

Babunia. No co? chciałaś się widzieć z Tosią? Nie można, fryzyer ją czesze...

Mysia. Patrzą Janka jaka sukienka, to na ślub dla Tosi.

Janka (zagryzając wargi). Bardzo, bardzo ładna.

Babunia. Dlaczego ty nie ubrana? idźże do domu—ubierz się i przyjdź. A pamiętaj, zupełnie biało, bo to dziewiczy wieczór Tosi. To wszystkie musicie być białe, jak stadko gołębi... to już taki zwyczaj... paniński wieczór! dziewiczy wieczór!...

Janka. Ja chciałam... chciałam koniecznie widzieć się z Tosią...

Babunia. Powiadam ci, że fryzyer ją czesze. Po co ci widzieć się z Tosią? Masz jej co do powiedzenia?...

Janka. Tak...

Babunia. No to jej powiesz jutro... albo nie, powiesz jej tam kiedyś po ślubie...

Janka. Nie... nie... ja jej to muszę powiedzieć jeszcze przed ślubem...

(Babunia patrzy na nią uważnie).

Babunia (po chwili). Ej Janka, Janka, daj spokój, nie mąć szczęścia ludziom, ty na tem nie zyskasz!

Janka (jak w gorączce). Ja muszę... ja muszę...

Babunia (ze znaczeniem). To trudno, moja droga. Nic z tego wszystkiego nie będzie, wyperswaduj to lepiej sobie...

Janka (zmieszana). Ale... pani nie wie co ja chcę Tosi powiedzieć.

Babunia (po chwili). Może nie wiem, w każdym razie dla mnie bliższa Tosia niż ty moja droga i ja nie dam krzywdy jej robić... Lepiej rozpogodź czoło i przypatrz się sukni... co? jakie koronki...

Janka (z goryczą). O tak! wspaniała... Tosia jest bogatą panną, może sobie za swój posąg kupić nie tylko koronki ale i... (urywa).

Babunia. Ha!... to trudno... zdaje się, że do końca świata będą bogate i biedne pan-ny. Trzeba się zdecydować na rezygnację— a ty zawsze zazdrościsz bogatszym.

Janka (z bolesną ironią). Pani wie, że jeśli chciałam mieć pieniądze, to nie po to, aby sobie kupić męża, ale dlatego, aby wyjechać na studia i stanąć o własnych siłach, ale teraz mi wszystko jedno i o co innego chodzi, co zaś do rezygnacji to słowo, ale zastosować je w życiu trochę trudniej.

Babunia. Dlaczego? skoro się ma wiarę w sercu a w duszy poczucie własnej godności.

Janka (zapatrzona przed siebie). Są okoliczności, w których kobieta traci wiarę i dumę.

Babunia. Dumę... może. Ale wiarę nigdy! a zresztą ja już kobieta starej daty—gdy miałam zmartwienie, umiałam się wypłakać i pomodlić w kącie... Ale ja jeszcze czytałam książkę do Nabożeństwa Dunina—to co innego.

Janka. Ja tego nie potrafię!

Babunia. Wiem to, wiem. A szkoda, szkoda, że łzami przy modlitwie uraza spływała i ja nigdy nie byłabym (ze znaczeniem) chciała cudzego nieszczęścia. (Janka milczy). Sądzę, że lepiej będzie dla ciebie, Janka, gdy nie będziesz się widzieć sam na sam z Tosią.

Janka (która chwilę wpatrywała się w fotografię mężczyzny na biurku). O! muszę, muszę widzieć Tosię.

SCENA V.

Też same, TOSIA, ZIUNIA.

Tosia (ładna, młoda, lalkowata paniénka o niewiele znaczącym wyrazie oczu i twarzy; ubrana wytwornie, białą i prześlicznie; a la

vierge uczesana, biegnie za Ziunią wołając).
Oddaj puder... oddaj puder...

Ziunia (uciekając). No, daj mi spokój.

Tosia. Babciu, ona mi usypała pudru z tego pudełka, co jest na wyprawę i zabrała flakonik perfum!

Babunia. Tosiu!... wstydź się... nie lataj. Niktby patrząc na ciebie nie pomyślał, że idziesz jutro za męż.

Tosia. Co to ma jedno do drugiego. Dzień dobry, Janko. Cóż ładnie mnie uczesali? fryzyer powiedział à la vierge... niby, niby stosownie na dzisiejszy dziewiczy wieczór. Uczesz się tak samo—pan Władysław mówił mi kiedyś, że ty masz twarz do tego stworzoną, (nagle do Ziuni). Oddasz mi puder, ty nieznośna kokietko.

Ziunia. Jak mamcię kocham, babciu, wzięłam dla żartów okruszynę... a tu zaraz takie krzyki.. Czekaj, powiem panu Władysławowi, że jesteś złośnica, że się pudrujesz, że jak tylko są konfitury, to je pokryjomu wyjadasz, to zobaczymy czy on się z tobą ożeni.

(Wybiega na prawo, potykając się o służkę, która wnosi bukiet róż białych i list).

SCENA VI.

Te same oprócz Ziuni, SŁUŻĄCA.

Służąca. Proszę panienki (z uśmiechem) od pana Władysława.

Tosia. Babciu, jakie cudne róże. Ach, jaki on dobry, rano przysłał mi koszyk z gołębiami, teraz znowu wiązanek róż; zobaczymy co pisze (czyta).

Janka (zbliża się do niej). Tosiu... ja chciałabym cię prosić, ażebyś...

Tosia (z roztargnieniem). Co? może chcesz, żeby ci co pożyczyć na dzisiejszy wieczór? rękawiczek? wachlarza?

Janka. Nie...

Tosia. Patrz co on do mnie pisze—nazywa mnie swoim słonkiem, to ładnie, co? nazywał cię kto kiedy słonkiem?

Babunia. Zapomniałaś Tosiu, że Janka nie miała jeszcze narzeczonego a do przyzwoitej panienki tylko narzeczonego ma prawo pisywać takie listy.

Janka (cicho do Tosi). Oddał babcię ja muszę z tobą sam na sam pomówić.

Tosia (zdziwiona). Ty? ależ babcia nam nie przeszkadza—babcia nie zdradzi naszych sekretów — prawda babciu?

Babunia (gładząc ją po włosach). Prawda moje złoto...

Tosia. Ja nigdy nie będę miała przed tobą tajemnic, ja to już mówiłam panu Władysławowi. Ja wszystko będę zawsze babci opowiadać.

Babunia (śmieje się). El!... znajdą się rzeczy, których mi nie będziesz opowiadać.

Tosia. O nie! wszystko! wszystko! (do Janki). Ale dlaczego ty, moja Janiu, jeszcze się nie ubrałaś? Ja ci dałam przecież już dwa dni temu moją bluzkę i sukienkę, żebyś ją przedłużyła.

Janka (z goryczą). Dziękuję ci serdecznie za twoje dary, ale ja z nich użytku nie zrobię. Nie przyjdę do ciebie dziś wieczorem.

Tosia. Ależ to być nie może! Ty przyjdiesz. Ja ciebie tak lubię i pan Władysław także.

Janka. Ja miałam być u ciebie, ale nie u pana Władysława!

Tosia. Och! Ja prawie już jestem panią Władysławową.

Janka (ze znaczeniem). Jeszcze nie!

Tosia (upuszczając różę z ręki). Dlaczego tak na mnie patrzysz, Janiu!

Babunia. Nie patrz tak na nią, Janka.

Janka (po chwili). Tego mi zabronić nie możecie!

SCENA VII.

Też same, MATKA.

(Matka lat 45, siwiejąca, ale bardzo mało ubrana jasno-popielato, bogato).

Tosia (otrząsając się z przykrego wrażenia). Mamo, Janka nie chce przyjść dziś wieczorem do nas...

Matka. Dlaczego?...

(Milczenie.)

Janka (po chwili). Głowa mnie boli.

Matka. To źle. Postaraj się, aby cię nie bolała—kup sobie antipiryny, dam ci pieniądze. Musisz być u nas koniecznie!

Janka. Ależ po co?

Tosia. Będą panienki moje znajome, będzie Franja, Mania, Lili, Muszka, Lunia, Józia, wiesz ta, cośmy na pensyi nazywały ją generałem. Wszystkie będą a ty jedna przyjsz nie chcesz...

Janka. Nie pociągają mnie...

Tosia. A ja wiem. One się tobie wydają głupie, ale poczekaj, będzie ktoś, z kim będziesz mogła rozmawiać rozumnie. Będzie panna Julia, ta co była w Genewie, co chodziła na przyrodę i na medycynę.

Babunia. Ta już zbyteczna.

Matka. Trudno, musieliśmy ją zaprosić, konwensanse! Ale do rzeczy, ty, Janiu, przyjść musisz.

Janka. Bezemnie doskonale się zabawicie, ja jestem chora... potem ja jestem zmęczona lekcyami... ja... ja... ja... jestem wam zupełnie niepotrzebna.

Matka. Ależ jesteś konieczna... Bez ciebie będzie nas trzynaście kobiet a na wieczorku panieńskim, w wigilię ślubu...

Babunia. Oh! nie!... za nic na świecie... To zły znak. Już lepiej ja pójdę położę się spać a na trzynastkę nie pozwolę...

Tosia. Ależ, babciu, jakże bez ciebie!

Janka (z goryczą). A więc to tylko dla tego, aby was nie było w fatalnej liczbie. Więc to ja mam was od nieszczęścia ochronić... Ja? ha, ha, ha! to zabawne, (po chwili). A kto wie! może ja wam właśnie nieszczęście przyniosę?

Matka. Żartujesz chyba...

Janka (nagle podniecona). Ja? nie? Choć od dziecka podobno przynosiłam nieszczęście. Stało się coś złego... oho!... Janka była za progiem. Podobno mam takie zielone oczy—po co ja mam tu przychodzić z temi oczami i patrzeć na tę ślubną suknię i na pannę młodą, na te róże, na te fotografie...

Tosia. Co tobie Janko?...

Janka. Nie! nie!... No to jeżeli chcecie i tak mnie zapraszacie, to ja przyjdę (z ironią). Pójdę, ubiorę się w Tosiną sukienkę i przyjdę. To nie—że sukienka cisnąć mnie będzie i tu i tu i koło serca, ale ja przyjdę na czternastą z pełnemi garściami szczęścia? kto wie!...

Matka. Jakto!... kto wie?...

Janka. Spytajcie tych róż, one wiedzą—uwiędły, bo ja spojrzałam na nie. Bądźcie zdrowi! (Wybiega).

SCENA VIII.

BABUNIA, MATKA, TOSIA.

Matka. Szalona dziewczyna... co jej się stało? Widocznie te lekcye muzyki tak ją denerwują.

Babunia. Podnieś róże, Tosiu, i włóż do wody.

Tosia. Babuniu! one naprawdę zwiędły—a pan Władysław pisał mi: niech one pani przyniosą szczęście?...

Babunia. Ożyją.

Tosia. Taka szkoda, biedne kwiaty (po chwili). Pan Władysław pisał, że mi jeszcze gotuje jakąś niespodziankę.

Matka. Ach Boże! moja Tosiu, trzymasz kwiaty tak blisko sukni ślubnej—patrz one wilgotne, mogą poplamieć atlas. Wogóle trze-

ba, ażebyś była trochę uważniejszą. Ja ręczę że podczas ślubu poplamisz suknię. Takie z ciebie dziecko. A ja chciałam ci powiedzieć dziś jeszcze...

Babunia (przerywa). Daj pokój, Emilio! nie ucz jej niczego, nie dawaj jej żadnych nauk. Życie będzie sto razy lepszym od ciebie nauczycielem. To jedyny, który mówi zawsze prawdę. Ośmnaście lat ją uczyłam—puść ją o własnych siłach.

Matka. To za wcześnie—chodź do mnie, Tosiu, ja dokończę cię ubierać i przez ten czas porozmawiam z tobą o twoich przyszłych obowiązkach. Do tej pory nie miałam czasu. Tyle kłopotów z tą wyprawą... potem z tem weselem... no, chodź, moje dziecko.

Babunia (odprowadza matkę na bok). Prawdy jej nie powiesz... będziesz klamać, więc po co?...

Matka. Moja mamó, taki już zwyczaj. Tak chcą konwensanse (wychodzi z Tosią).

Babunia (za niemi). Idź, idź ty konwensowska niewolnico...

SCENA IX.

BABKA, WISIA, SŁUŻĄCA.

(Wisia rezolutna dziewczynka, ubrana cała białą z lokami).

Służąca. Przyprowadzili Wisię.

Wisia (całuje babkę w rękę). Dzień dobry pani!

Babunia (do służki). Zostaw ją tu. A powiedz Janowi, ażeby nie wychodził otwierać. Dziś ty drzwi otworzysz i wogóle niech mi się tu żaden mężczyzna nie kręci po pokojach. Dziś panieński wieczór — pamiętaj o tem! A pospuszczałaś rolety? mieszkanie na parterze a ty zawsze o tem zapominasz — i świece zapal!

Wisia (chodzi dokoła sukni). Dlaczego ta pani nie ma głowy?

Babunia. Bo to nie pani, ale manekin — zaraz ci przyślę Mysię. Nie ruszaj tylko tutaj nic, moje dziecko.

Wisia. Dobrze, proszę pani!... (Babunia wychodzi na prawo). Nie ruszaj, zaraz — (idzie do parawana, zagląda, biegnie do tualetki, rusza wszystko, do biurka, potem zagląda pod tren sukni i mówi). I! to taka pani z drutu...

SCENA X.

WISIA, MYŚIA, TOSIA, LUNIA.

(Mysia wystrojona białą).

Wisia (pędzi do Mysi krzycząc). Dzień dobry Mysiu!

Mysia. Dzień dobry! nie krzycz tak, bo to nieładnie.

Wisła. II nie będziesz mnie uczyła—(ogłąda suknię Mysi). Twoja suknia brzydsza niż moja.

Mysia. To twoja brzydsza, u mnie szarfa z tyłu a u ciebie co?...

Wisła. U mnie jest koronka.

Mysia. Ale u mnie wstążka.

Wisła (zła). A u mnie w domu jest już elementarz i duża piłka.

Mysia (zła). A ja wczoraj piłam czekoladę a ty nie!

Wisła (tryumfując). A ja wczoraj brałam lekarstwo, a ty nie.

Mysia (czuje się pobitą, po chwili nagle). A moja siostra to idzie za męża a twoja nie.

Wisła (tryumfując). A mój brat się ożenił i ma czworo dzieci!

Mysia. Nie prawda!

Wisła. Jak mamę kocham (po chwili znużona). Bawmy się.

Mysia. W co?

Wisła. W panie!

Mysia. Dobrze — to siadaj na kanapie a ja na fotelu...

(Siadają jak baletniczki na kanapie, zadzierając sukienki).

Wisła. Dzień dobry pani — dzieci pani zdrowe?...

Mysia. Nie—wszystkie mają podagrę!

Wisła. A pani mąż?

Mysia. Od wczoraj jestem wdową!

Wisła. A ja właśnie mam iść za męża za chłopca z cukierni. Będę jadła same ciastka na obiad i będę się myła orszadą (po chwili zeskakują). Schowajmy się!

Mysia. Gdzie?

Wisła. Pod suknię!

(Włożą pod tren sukni, wbiega Tosia).

Tosia. Mama kazała przynieść sobie mój dzienniczek. Co to ten ślub! Nigdy mama mnie się nawet o dzienniczek nie pytała (wyjmuje z biurka dzienniczek, przybiegając do sukni). Ty moja sukienko, jakie ty mi niespodzianki odkryjesz?...

(Obie dziewczynki z dwóch stron wychylają główki z pod sukni wołając: a ku-ku! Tosia śmiejąc się wybiega i wchodzi do pokoju Lunia. Mysia i Wisła biegną do kanapy).

Lunia (podrastająca panienka, ubrana białą, trochę niezgrabną, czerwieni się co chwila). Jak się masz, Mysiu! dzień dobry, Wisiu! (Wbiega Ziunia, ubrana białą z wielką kokieterią).

Ziunia. Dzień dobry, Luniu. Co tu robisz z temi dziećmiakami, siadaj tutaj—a wy idzie sobie dalej. Co to jest rozsiadać się po kanapach? Także!...

(Spędza Mysię i Wisłę, które idą trochę dalej).

Lunia.. Jaka jesteś dzisiaj ładna, Ziuniu.

Ziunia. W sekrecie ci coś powiem, tylko przysięgnij się że nikomu nie powiesz...

Lunia. Jak mamę kocham!
(Wisia podsłuchuje).

Ziunia. Upudrowałam się!

Lunia. O!...

Ziunia. Dlaczego ty jesteś taka czerwona?

Lunia. Ach, Boże, czy ja wiem czemu ciągle piekę raki. Wiesz, już mi życie po prostu zbrzydło. Profesor wyrwie mnie, albo ktoś coś powie do mnie, ot tak, albo co bądź, a ja zaraz jestem czerwona jak burak.

Ziunia. Ja wiem co to jest.

Lunia. No co?...

Ziunia. Ty musisz mieć nieczyste sumienie!

Lunia. Ja! ale Ziuniu co znowu? Ja nie wiem. ja sobie wszystkie grzechy zapisuje do dzienniczka i są same powszednie, jak mamę kocham.

Ziunia. To już nie wiem (po chwili). Ty wiesz oni sami pojadą.

Lunia. Kto?

Ziunia. Oni! Tosia i ten jej czuły narzeczony (Wisia podsłuchuje). Wisia nie podsłuchuj kiedy starsi rozmawiają (do Luni). Jeżeli przysięgniesz się, że nikomu nie powiesz, to ci coś powiem w sekrecie.

Lunia. Jak mamę kocham nikomu nie powiem.

Ziunia. Oni się kiedyś pocałowali.

Lunia. O!...

Ziunia. Mama mnie zawsze kazała przy nich siedzieć. Ale oni mnie oszukali—to to, to owo wymyślali, wypychali mnie, aż raz ja to widziałam.

Lunia (ze spuszczonej oczyma). Pocałowali się.

Ziunia. Czegożes taka czerwona?

Lunia. Jakże nie być czerwoną, przecież to chyba grzech.

Ziunia. E... przyznam ci się, że już zaczynam nie rozumieć. A potem okropnie się jednej rzeczy boję.

Lunia. Czego?

Ziunia. Mama mi się każe pewno do nich wprowadzić po ślubie i będę musiała ich dalej pilnować, zobaczysz!...

Lunia! E! to, to chyba nie.

Ziunia. Ale zobaczysz — nibyto mama mówi „nie“, ale ja jestem pewna. Jakże ja będę za nimi łąziła—to los!

SCENA XI

Też same; wybiega służąca otwierać, hałas w przedpokoju, śmiechy; ze drzwi z lewej strony wbiega Tosia, z przedpokoju wchodzi:

FRANIA, MANIA, LILI, MUSZKA, JULIA, wszystkie białe, elegancko ubrane, uczesane modnie, znać na nich dostatek i dobre wychowanie).

Lu nia (zatrzymuje Tosię, podaje jej kwiatki, które trzymała w ręku). Moja droga Tosiu, winszuję ci, że idziesz za mąż.

Tosia. Dziękuję ci! o mój Boże, co ci jest! taka jesteś czerwona (biegnie do wchodzących panienek). Dzień dobry—dzień dobry!

Wszystkie. Winszujemy ci, winszujemy (całują ją i podają jej kwiaty).

Julia (która wchodzi powoli i mówi z wyższością). Ja ci nie winszuję, bo nie wiem jeszcze czy jest czego, ale ci życzę, ażebyś była o ile można szczęśliwa za tym mężem.

Tosia. Dziękuję ci! Ale gdzie General?...

Józia (zwana Generałem. Jest to duża dziewczyna z krzakowatemi ruchami, ale nie ordynarnemi, ma włosy uczesane nie zbyt porządnie i ręce bardzo czerwone, ubrana jest w bardzo elegancką suknię białą, ale stanik ma włożony z tyłu naprzód tak, że piersi ma ściśnięte plecami stanika a na plecach wisi jej garb z przodu stanika; stanik jest zapięty z przodu a właściwie winien być zapięty z tyłu na guziczki).

Józia (która trzyma coś z tyłu). Jestem! Jak się masz owco na rzeź przeznaczona! Ty! zdradziłaś naszą umowę za to masz mój bukiet (wyciąga z poza pleców różgę związaną wstążką).

Panienki (śmieją się). Och, Generale.

Józia. Zdradziłaś przysięgę. Dałyśmy sobie słowo, że nie wyjdziemy za mąż, pamiętacie, dzieci? Ł

Lili. Frania, Mania, Muszka. Prawda!

Józia. Jedna już chciała zerwać umowę ale (patrzy na Franię, ta nagle mieni się na twarzy i Józia rzuca się jej na szyję). Nie, nie. Już nie, nie, nie będę nic do ciebie mówiła (do Tosi). Ale ty nie zasługujesz na inny bukiet i weź go sobie...

Tosia (śmiejąc się). Szczęście, że mnie tą różgą nie wybijesz.

Józia. Zdałoby ci się. Po co ci mąż? Dlaczego ja nie chcę iść za mąż...

Julia. Z takimi manierami trudno wyjść za mąż...

Józia. Zapewne... ale i te ze studenckimi manierami nie prędzej idą odemnie a nawet dłużej czekają—i jeśli myślą, że są bardzo mądre, bo były trzy miesiące na medycynie—to się mylą...

Julia. Bo same nie chcą iść za mąż, mają inne cele w życiu.

Tosia. E! co tam, już się stało, klamka zapadła.

Julia. Od ołtarza się ludzie rozchodzą.

Mania. Jaka cudna suknia z patką ztyłu. Tylko zdaje mi się, że w pasie trochę za szeroka, na mnie przynajmniej byłaby ogromna.

Lili. Naturalnie, nie każdy jest taki cienki w pasie jak ty!...

Józia. Tylko patrzeć jak się kiedy przetnisz na dwie połowy i będą cię musieli sklejać kłajstrem od porcelany.

Mania. Bóg wie co wygadujecie... o—niech każda się przekona, czy ja mam ściśnięty gorset, no!

Lili. Daj pokój, małość nie zemdlą w karetce!! (inne panienki oglądają suknię).

Frania. To ładna taka forma princesse, te dodaje powagi!...

Józia. Będiesz w tej sukni wyglądała jak kaczką!...

Panienki. O!...

Józia. Cóż o! Czy ja to się niby nie znam na modzie? jak kaczką powiedziałam i tyle.

Julia. Ja inaczej byłabym się na ślub ubrała. Ciemno, poważnie, bo niby czego się znowu tak cieszyć — małżeństwo to nie zabawa, to cała serya przykrości, chorób, kłótni, zrad, Bóg wie czego!...

Tosia. E!... Tak źle nie jest.

Lili. Najgorsze w małżeństwie to dysponowanie obiadu.

Muszką. Jabym się bała iść za męża...

Wszystkie. Dlaczego?

Józia. To wszystko zależy od tego jak się z mężem postąpi, od razu jak ja nie wezmę pod pantofel, to on mnie weźmie pod but.

Julia. Co? co? pod but — jakie ty masz wyrażenia?

Józia. Generalskie... pod but! więc ja jego panie dobrodzieju za łeb i już mam całe życie spokojne...

Muszką. Ale czy on będzie miał całe życie spokojne...

Józia. Co mnie to obchodzi, ja jestem Samson i tyle...

Wszystkie. Co? co? Samson?...

Józia. No tak samojednik. Ach!... Pardon, egoistka, mówiąc po dystyngowanemu, byłam z wami na pensji, ale nie nauczyłam się jeść widelcem ryby, ani spać w rękawiczkach. Doprowadzam do rozpaczyny moją matkę, ale nie na to nie poradzę, więc gadam tak po swojemu.

Muszką (spuszczając oczy). Ja znowu gdybym już musiała koniecznie wyjść za męża, to chciałabym żeby mój mąż... (urywa).

Józia. No wyduś!

Muszka. E nie!

Józia. Gadaj!...

Muszka. Był sokołem i nosił takie piórko u czapki, to tak ślicznie.

(Śmieją się wszyscy).

Tosia (do Frani cicho). Jaka ty dziś jesteś blada, Franiu!

Frania. Nie zważaj na to...

Tosia. Ja wiem, wiem co ci jest, ty sobie przypominasz śmierć twojego narzeczonego i bardzo ci smutno, prawda... (Frania milczy). Ja to teraz dopiero rozumiem, Franiu, jakie to musiało być dla ciebie straszne, mnie się zdaje, że gdyby tak pan Władysław zmarł, to jabym go nie przeżyła.

Frania. Musiałabyś go przeżyć, to trudno!

Tosia. On mnie tak kocha! patrz napisał do mnie list i pisze „ty moje słonko“.

Frania. Mój do mnie tak samo pisał.

Mania. Ale jutro w kościele pamiętaj pociągnąć mnie za sobą, jak będziesz odchodzić od ołtarza.

Lili. I mnie pociągnij!

Muszka. Tosiu i mnie pociągnij!

(Dzieci wołają „także i mnie“).

Józia. Co i was, bębny? za mąż się im śpieszy. A do elementarza. Ale to pamiętaj, Tosiu, że twoja ręka podczas wiązania stuła musi być na wierzchu; pamiętaj, inaczey on będzie nad tobą przewodził całe życie.

Julia (siada przy fortepianie). Upokazająca niewola!...

Lunia (nieśmiało). Dlaczego, jeśli się kocha... (zaczerwieniona, czując wzrok wszystkich na sobie chowa twarz w ręce).

Józia. Głupstwo, w małżeństwie niema miłości!

Lili. A tak; mówią, że jest tylko szacunek. Hi, hi, hi!

Tosia. Ach, nie!... nie mówcie tak, proszę was—to byłoby bardzo smutno...

Julia (zaczyna grać powoli). Powiedziałam, że małżeństwo nie jest idyllą.

Wisia (wpadając nagle pomiędzy wszystkich). Wicie, Ziunia się upudrowała!

Ziunia. Nie prawda!

Wisia. Prawda, sama słyszałam, mówiła!

Ziunia. Idź stąd, ty niezdolna! (Służąca dawno wniosła tort, wino w małych kieliszkach, cukierki, pomarańcze, aby panienki jadły i piły).

Mania. Ja gdzieś słyszałam, że małżeństwo jest grobem miłości.

Lili (pretensjonalnie). To zależy pewnie od żony. Ja sędzę, że można miłość wszędzie utrzymać!

Józia. Swoją drogą, jakby mnie mąż nie kochał, to jabym mu włosy z głowy powyrywała.

G. Zapolska. Dziewiczy Wieczór.

Ziunia. A jakby był zupełnie łysy?

(Okropny chichot wśród panienek).

Józia. Cicho, subordynacya, za łysego nie pójdę, mój mąż musi być!...

Ziunia. Rudy!

(Znowu śmiech).

Józia (do Ziuni). Głupia jesteś. Już ja wiem jaki on będzie...

(Julia gra gawota, panienki powoli podchodzą do fortepianu i zaczynają nucić, najprzód Frania, za nią inne i formuje się grupa, która rozwija się w łańcuch, prowadzony przez Franię i stopniowo wzrostem aż do Wisi i Mysi i panienki gawotowym krokiem okrecają ślubną suknię, śpiewając).

Sukienko ślubna jakby lilij kwiat
Zjawiała się wśród nas jak cień,
Przed tobą korzy się dziewczęcy świat,
Bo jutro twój królewski dzień,
Sukienko biała jak śniegowy puch
Pamiętaj proszę o mnie też,
Sukienko biała, lekka jakby duch
I mnie w przedślubny welon bierz.

(Nagle Frania zaczyna łkać, przerywa łańcuch i taniec, biegnie do fotelu pada nań i zaczyna płakać gwałtownie — wszystkie panienki biegną ku niej).

Józia. Franiu co ci się stało! Franiu!

Tosia (cicho do panienek). Wy wiecie przecież... przypomniał jej się narzeczony... umarł... na trzy dni przed ślubem.

Wszystkie. Tak, tak!...

Frania (powoli, jakby sama do siebie, podczas gdy panienki grupują się dokoła niej w ładnych smutnych pozach). Tak, pamiętam wszystko. ta suknia, ten gawot, on go grał zawsze, suknia była taka sama — ślub miał się odbyć za trzy dni, we środę a w niedzielę czekamy. Chodziliśmy zawsze razem do kościoła: mama, ja i on, czekamy napróżno, poszliśmy same, potem z obiadem czekamy a jego niema. Mamcia widzi co się ze mną dzieje więc idzie, on mieszkał u brata! Mamusia dochodzi do domu — stoi masa ludzi i mówią: taki młody! taki młody Co? jak? kto? już znaleźli nieżywego odpowiadają—mamusia biegnie i zastaje już trupa—(po chwili) zastrzelił się!... (panienki patrzają po sobie). I nikt nie wie dlaczego? — umarł ze swoją tajemnicą; zmarł; nikt nie wie, nikt się już nie dowie... (Słychać silny trzask jakgdyby pękającego drzewa).

Panienki.(przerażone). O!... (tulą się do siebie).

Muska. Może on jest tu między nami—ja słyszałam, że samobójcy nie mają po śmierci spokoju!...

Julia. Co za niedorzeczność. Meble pękają, nie więcej...

Frania. A ja wierzę, że nie, panno Julio. Panią medycyna czego innego nauczyla! a mnie moje nieszczęście czego innego. Ja chcę wierzyć, że on mnie widzi! (pukanie do okna). Och! (dziewczyny się tulą jak stadko owiec do siebie).

Muszka. Nie otwierajcie!...

Józia. Co za nonsens! duchy będą po ulicach chodzić (biegnie do okna, przez które ktoś wrzuca całe masy białego bzu i lilij). No to chyba zrobił ktoś żyjący, patrzcie—bzy. (Dziewczeta biegną i podnoszą śmiejąc się i ubierają się w kwiaty).

Tosia. To on, Władek to zrobił nikt inny!

SCENA XII.

Też same, BABUNIA, MATKA, później JANKA.

(Panienki biegną i witają się całując panie po rękach—chwilę trwa zamieszanie, wchodzi Janka).

Janka (ubrana białą). Przychodzę w porę? widzę właśnie trzynaście osób.

Mysia. A! Tosina sukienka! Janka ma Tosiną sukienkę...

(Chwila milczenia).

Janka (z wysiłkiem). Tak, Tosia była tak dobrą i podarowała mi swoją starą sukienkę, bo jestem biedna i nie mam sobie za co sprawić.

(Wita się z pannami).

Tosia. Ależ, Janiu!...

Babunia. E, co tam!... potańczcie lepiej trochę.

Wszystkie. Potańczymy!

Ziunia. Nie ma kawalerów.

Babunia. A tobie na co kawalerów — tańczcie jedna z drugą.

Wszystkie. Ależ chętnie.

(Julia gra walcą cicho — panienki zaczynają tańczyć w głębi sceny, przedtem służa uprzątnęła manekin).

Matka (do Janki). Napij się wina moje dziecko i zjedz trochę cukierków.

Janka (ironicznie). Dziękuję, pani, taka dla biednej kuzynki łaskawa, proszę o trochę papieru, zabiorę co nie dojem z sobą do domu...

Matka. Co ci jest Janka.

Janka (z gorączkową wesołością). Mnie nic, pójdę tańczyć (do Józji). Służę ci, generale (tańczy).

Matka (do babki). Taki strach mnie przejmuje!

Babunia. Dlaczego?...

Matka. Dopiero teraz pytam się sama siebie czy dobrze robię wydając Tosię tak młodą za męża. Patrz, między temi dziećmi, w tym tanecznym wirze trudno ją odróżnić. I jutro już żona!...

Janka (do Józi). Pysnie tańczysz, mój generale!...

Józia. Prawda? mam sznit wojskowy — ja powinnam była się urodzić lejtnantem, co?

Janka (z gorączkową wesołością). Ale patrz generale... włożyłaś stanik z tyłu na-przód!...

Józia. Guziki z przodu.

Janka. Powinny być z tyłu... Oj ty! już z ciebie nie będzie nigdy taka Mania—patrz jak lalka—a teraz idź, idź!...

Tosia (do Janki). Nie powinszujesz, mi Janko?

Janka (prędko, gorączkowo korzystając z tego, że babka i matka zajęte panienkami). Owszem, dam ci nawet dowód jak bardzo ci sprzyjam... Tosiu, posłuchaj mnie — ja, ja, nie mam czasu mówić ci dokładnie wszystkiego... ale zrozum, twój ślub się nie odbędzie!

Tosia. Zerwać? dlaczego? (w tej chwili przybiega Mania i porywa Tosię do tańca — Tosia tańczy jedną turę—wrywa się, wraca do Janki, która stoi błada jak trup na przodzie sceny). Dlaczego ja mam zerwać? dla czego?...

Janka. Bo Władysław nie ciebie, ale mnie kocha... bo z tobą żeni się dla posagu! rozumiesz, dla posagu?...

Tosia (jakby gromem rażona). Nie, nie! to być nie może, to nie podobna — on mówił jeszcze wczoraj, że mnie jedną tylko w życiu kochał.

Janka. Mnie mówił to samo, ale jeszcze przed tobą... kochaliśmy się tak bardzo... ja... ja... tyle szaleństw dla niego popełniłam. Ty nie rozumiesz, ale on miał się ze mną żenić, potem zaś przyszłaś ty, on dowiedział się o twoim posagu i porzucił mnie — porzucił...

Tosia. Ty kłamiesz!

Janka. Wiedziałam, że mi wierzyć nie będziesz, masz, czytaj, to są dowody — (daje jej paczkę listów) jego listy...

Tosia (przegląda). Boże! jego pismo, tak tak, co on pisze? moje słonko? do ciebie tak samo jak do mnie?

Janka. Do mnie tak samo jak do ciebie...

Tosia (oszałała z bólu). Mamo! Babciu! (biegnie do nich, obie siedzą po lewej). Patrzcie, pan Władysław kochał się przedtem w Jance — porzucił ją dla mnie — to jest dla mego posagu — to są jego listy — nazywa ją słonkiem... jak mnie... ja nie mogę iść za niego!... nie mogę!...

(Rzuca się matce w objęcia, która ją tuli).

Matka. Cicho, cicho, nie płacz! rzeczywiście to bardzo zły, bardzo zły postępek!...

Józia (głośno). Dosyć walca, będziemy tańczyć lansyera.

Panienki. Nikt z nas nie umie.
(Grają lansyera, panieki próbują tańczyć).

Matka. Pokaż te listy (czyta). Rzeczywiście ta dziewczyna nie skłamała. Ach, co teraz? co teraz? co świat powie? Otóż to, kiedy kobieta pozostanie sama nie wie co robi, kogo w dom wpuszcza.

Mania (do Tosi) Tosiu, Tosiu, chodź potańcz z nami!

Babunia. Idź, Tosiu, nie trzeba zasmucać swych gości, potańcz i powróć tu za chwilę, otrzej łzy, wszystko będzie dobrze.

Tosia. Ale jak, babciu? jak?

Józia. Tosiu, czekamy! a ty, Janka?

Janka (ironicznie). Nie, ja nie tańczę, mnie za ciasno w darowanej przez Tosię sukni.

Józia. Ale co tam, chodź (chwyta Jankę i ciągnie za sobą). Tańczmy menueta to ładniejsze!...

Panienki. Tak, menueta!
(Trzeba, aby menuet rozpoczął się wtedy, kiedy babka mówić zacznie).

Babunia (na tle menueta łagodnym głosem. Matka obok niej, u jej kolan Tosia). Jest nas trzy w tej chwili. Trzy kobiety —

trzy wieki. Młodość, wiek dojrzały i starość; przed tobą całe życie, przed tobą połowa a przedemną śmierć i gdy się właśnie dojdzie do kresu tego, na którym ja stoję, to krewkość młodości odpada i widzi się życie takim, jakim ono jest, ni piękne, ni brzydkie; a to co my nazywamy występkami to jest takie drobne wobec majestatu śmierci — a to co się nazywa dobrem, to takie nic przy wieku trumny. Ty jeszcze, Emilio, masz porywy młodości. Ty nazywasz Władka nikiem, bo kochał ładną dziewczynę. Hm! mój Boże — po prawdzie powiedziałszy okazał dobry gust...

Matka. Ależ on ją porzucił! oszukał...

Babunia. Ta, ta, ta, Janka nie dziecko, wiedziała co robi. Chciała być oszukiwaną i jest nią!

Tosia. Babciu! to się musi zerwać... ja za niego nie pójdę.

Babunia. Czy to dlatego, aby on się ożenił z Janką? ale on się z nią nie ożeni, tylko znajdzie sobie jaką inną pannę i...

Tosia (z płaczem). Ja nie chcę, żeby on się z kim innym żenił!

Babunia. A widzisz. Dziś ci łatwo powiedzieć „zerwę“ ale potem byłoby trudno, płakałabyś tak po nim jak Frania płacze po tym zabitym. Wierz mi, najpiękniejsze co

jest na świecie, to umieć zapomnieć! a czas dopomoże. Wierz memu doświadczeniu!...

Matka. Ale jeśli świat się dowie — konwenanse każą zerwać.

Babunia. Świat się nie dowie! Dla konwenansów czynić Tosię nieszczęśliwą — to głupio, słuchaj, Tosiu, w miłości nie ten jest szczęśliwy kto jest kochany, ale ten kto kocha. Ty kochasz, więc będziesz szczęśliwą. No dajcie pokój, nie patrzcie na drobiazgi przez powiększające szkło, ale przez moje okulary, które czas i łzy oszlifowały. Nie zrywajcie, bo to sensu nie ma; gdyby dla takich przyczyn zrywać małżeństwa to należałoby tę instytucję zwinąć zupełnie (z uśmiechem) a byłaby szkoda, bo ona ma swoje dobre strony.

Matka. Więc mama radzi, żeby...

Babunia. Udać, że się o niczem nie wie. Z Janką ja się załatwię; listy mi dajcie! bierzcie listy i pali je kolejno) skończyło się, nie ma nawet o czem myśleć! (wstaje). Moje panienki, nie umiecie tańczyć menueta. Choć to także nie moja epoka, ale zawsze jestem jej bliższa niż wy, moje panienki — (panienki przerywają tańce i otaczają babcię, przez ten czas Tosia tuli się do matki).

Lili. A jakie tańce tańczyli wtedy.

Babunia. Solowe, mała panienko, z szalem, kaczucze, nóżkę trzeba było mieć wy-

robioną a talię taką, żeby bransoletką się opasać.

Józia. Kłaniam uniżenie; ładniebym w takim towarzystwie wyglądała.

Mania. A widzicie, śmiejecie się ze mnie!...

Julia. Idź! idź! to było przed stu laty, teraz rozkrępowali kobiety z powijków.

Babunia. No tańczmy, panienki!...

Panienki. Pani z nami?...

Babunia. Naturalnie. Janko, ty będziesz tańczyć ze mną.

Janka (zmieszana). Ja?...

Babunia. Ty — ja ci każę; tańczymy.

(Zaczynają).

Wisia (na przodzie sceny siada na fotelu sama). Tyle się wina napiłam, że mi się w głowie kręci!...

Mysia. I mnie też (włazi także na fotel, razem śpią).

Tosia (do matki). Każesz mi zapomnieć mamę?...

Matka. Mnie się zdaje, że babcia ma słuszość.

Babunia (do Janki surowo. Tańcząc gdy dojdzie na przód sceny). Ty co! nie tylko zapomniłaś o godności dziewczęcej wdając się w miłostki z Władkiem, ale chciałaś jeszcze zerwać małżeństwo Tosi — jesteś złą dziewczyną. Ja cię podejrzywałam i radziłam dać spokój — nie usłuchałaś i teraz kto wie, może

jak te róże pod twemi oczami, uwiedło szczęście życia mojej wnuczki!...

Janka. Więc ja się miałam poświęcić? broniałam się!...

Babunia. Nie broniałś, nie... mściłaś się... wiedziałaś, że twoje szczęście już do nieobronienia! w tej chwili wyjdiesz ztąd, potem ja cię wyszlę do Genewy, idź na studia a nas zostaw w spokoju.

Janka. Ja nie chcę!

Babunia. Pytać się nie będę, pomówię z twoją matką a teraz idź ztąd! (przerywa się menuet). Panienki, czuję się zmęczoną, tańczcie same, darujcie ale jestem stara (do Janki). Idź ztąd.

Janka. Pójdę! (z ironią) zostawię was w trzynaście.

Babunia. Nieszczęście, które nam przyniosłaś, zostanie z nami i będzie czternaste... (do panienek). Panienki, Jankę głowa boli—służąca ją odprowadza do domu, pożegnaj się, Janiu!

(Janka blada ze wzruszenia, Julia gra walca, panienki zaczynają tańczyć bardzo powoli i z wielkim wdziękiem; Janka kłania się zdaleka matce i wychodzi).

Frania (przybiega). Chodź, Tosiu, tańczyć—taki wale, to tak kołysze, tak uspakaja.

Babunia. Idź, Tosiu, idź!

Tosia (patrząc na Franię). Kiedy ty, Franiu, możesz tańczyć, to i ja chyba mogę.

(Idzie tańczyć z Franią).

Babunia (patrzy chwilę na tańczące panienki). Jak one jeszcze będą płakać gorzko w życiu, te biedne dziewczęta! Ha! ha!... (po chwili z uśmiechem smutnym). A jak niepotrzebnie!

(Panienki tańczą ciągle walca, Julia gra, jedna z nich stoi na krzeselku i rzuca na tańczących liliami i bzem).

Zasłona zapada.

K O N I E C.



Tanie wydawnictwo
A. WIŚLICKIEGO.

1. Goszczyński S. Oda.
3. Börne Ludwik. Wybór szkiców t. I.
4. Goszczyński S. Zamek Kaniowski.
8. Henryk Heine. Obrazy z podróży t. II.
9. Börne Ludwik. Wybór szkiców t. II.
10. A. Chamisso. Historia Schlemihla.
14. Henryk Heine. Obrazy z podróży t. IV.
17. La Rochefoucauld. Maksymy.
18. Musset A. Andrea del Sarto.
19. Turgenjew. Pamiętniki myśliwca.
- 22 i 23. Szekspir. Otello, tragedia.
24. Świetla. Powieści wiejskie.
25. Mark Twain. Humoreski t. II.
- 26 i 27. Erckmann-Chatrian. Pani Teresa.
- 28—30. Jean Paul. Hesperus.
31. Mark Twain. Humoreski t. III.
- 32—34. Prevost. Manon Lescaut.
35. Lermontow. Demon.
36. Puszkina. Cyganie.
37. Musset Alfred. Ludwisia.
- 41 i 42. Arystofanes. Rycerze.



43. Heine H. Melodye hebrajskie.
47 i 48. K. Świetla. Z rodzinnej kroniki.
49 i 50. Börne. Wybór szkiców t. III i IV.
51. Vrchlicki. Drahomira.
54. Halevy. Nowele.
58. Słowacki. Agezylausz.
63—64. Petöfi. Stryczek kata.
65—70. German. Niedola Nibelungów.
71. Bois Melly. Opowiadanie wypalacza wapna.
72 i 73. Heine. Pamiętniki.
74—78. Monteskiusz. Listy perskie.
79—81. H. Taine. Życie i spostrzeżenia o niem.
82. Scioberet. Pasterz Alpejski.
83 i 84. H. Taine. Napoleon Bonaparte.
85 i 86. Shelley. Rodzina Cencich.
87—92. Erckmann-Chatrian. Oblężenie.
93—94. Gerhart Hauptmann. Samotni.
95—96. Herman Sudermann. Thea.
97—100. Daudet. Safo.

 Wszystkie te dzieła mogą być nabywane każde oddzielnie; tomik po kop. 12, z przesyłką kop. 15.

TEATR
GABRYELI ZAPOLSKIEJ

w 8 tomach zawiera:

MAŁASZKA, obraz sceniczny w 8 odsłonach,
tom jeden.

KAŚKA KARYATYDA, melodramat w 6 odsłona-
nach, tom jeden.

MAŁKA SZWARCENKOPF, sztuka w 5 aktach,
tom jeden.

JOJNE FIRUŁKES, sztuka w 5 aktach, tom
jeden.

ŻABUSIA, sztuka w 3 aktach, **DZIEWICZY**
WIECZÓR, akwarela sceniczna w 1 -akcie,
tom jeden.

MĘŻCZYŻNA (Ahaswer), sztuka w 3 aktach,
tom jeden.

TRESOWANE DUSZE, sztuka w 3 aktach, tom
jeden.

ŻYCIE NA ŻART, sztuka w 3 aktach, tom
jeden.

